MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 21 WARSZAWA, 15 MAJA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

W SETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI JĘDRZEJA ŚNIADECKIEGO

I

W DNIU 11 maja roku bieżącego święci polski świat naukowy setną rocznicę śmierci jednego ze swoich największych uczonych — Jędrzeja Śniadeckiego. Zasługi jego scharakteryzował i wyjaśnił doskonale Adam Wrzosek w dwutomowej monografii, wydanej w Krakowie: „Jędrzej Śniadecki, życiorys i rozbiór pism”

Swoje wybitne stanowisko w historii nauki polskiej zawdzięcza Śniadecki nadewszystko dziełu z zakresu biologii,, mianowicie: „Teorii jestestw organicznych” oraz studiom filozoficznym i chemicznym, a w historii literatury — swoim znakomitym satyrom, ogłaszanym na łamach wileńskich „Wiadomości Brukowych”. Zapisał się, i to nie mniej trwale, w historii pedagogii, jako autor dzieła: „O fizycznym wychowaniu dzieci”.

Temu to dziełu warto dzisiaj, kiedy się tyle mówi i pisze o tej dziedzinie wychowania, poświęcić kilka słów.

Pierwotnie ukazało się ono w „Dzienniku Wileńskim” w roku 1805. W roku 1822 opracował je Śniadecki ponownie, ale wydał je dopiero w roku 1840 jego zięć, Michał Baliński, w tomie pierwszym „Dzieł” swego teścia.

Ma ono charakter popularny — jest przeznaczone nie dla fachowych pedagogów, tylko dla ogółu wychowawców. „Chciałem je dać — pisze autor — w ręce dobrym ojcom i matkom rozsądnym, a nawet (niech to ich nie obraża!) i rozsądnym mistrzom młodzieży naszej, których pospolicie guwernerami nazywamy”. Zdawał sobie jasno sprawę, że wychowanie w Polsce idzie fałszywemi drogami, jest bowiem zbyt jednostronne, zbyt wyłącznie krząta się około umysłu z krzywdą dla zdrowia. Otóż celem dzieła jest właśnie walka z tą jednostronnością, a jego główną treścią, jak to widać z tytułu, są zasady wychowania fizycznego.

Tytuły poszczególnych rozdziałów pozwalałyby na pierwszy rzut oka sądzić, że dzieło ma charakter bardzo specjalny, lekarski, jedynie praktyczny, jeden bowiem tylko rozdział (szósty) ma tytuł ogólniejszy: „Wychowanie dojrzewającej młodzieży”. Tytuły zaś pozostałych sześciu rozdziałów brzmią: „Na co należy mieć wzgląd w kojarzeniu małżeństw?”. — „O zachowaniu się niewiast brzemiennych”, — „Chodowanie niemowląt”, — „Chodowanie dzieci po odłączeniu aż do końca siódmego roku”, — „Wychowanie dzieci po skończeniu roku siódmego czyli po wyrżnięciu się powtórnych zębów”, — „Wychowanie dzieci z urodzenia słabych lub niedołężnych”.

Więc to tylko podręcznik wychowania fizycznego? Zapewne, ale i tutaj, jak we wszystkich swoich pismach, ujął Śniadecki temat tak szeroko, że wybiegł daleko poza właściwy zakres.

Bieg myśli jest taki. Wychowaniem nazywa Śniadecki „wszelkie starania, w tym zamiarze około dziecięcia podjęte, aby je na doskonałego wykształcić człowieka”. Doskonałym zaś człowiekiem jest ten, „kto w czerstwem i kształtnem ciele czyste nosi serce i niepokalaną ma duszę, kto ma zdolności, społeczeństwu, w którym żyje, przydatne”. Ale cóż, kiedy „wysoka doskonałość jest tylko... urojona: dążyć wprawdzie do niej potrzeba, ale jej doścignąć trudno”. Bo, pomyśleć sobie tylko, czy

dzisiaj może być na tym świecie człowiek pod względem fizycznym doskonały? Doskonałym fizycznie wyszedł człowiek z rąk Stwórcy, ale żyjąc w społeczeństwie, utracił doskonałość, sam się jej zrzekł, „odstąpił cząstki owego szczęścia, jakie najwyższy człowieka Autor przeznaczył dla niego”.

Dzisiaj ma tedy człowiek dwie drogi do wyboru: albo cofnąć się do stanu pierwotnego i być doskonałym fizycznie, a przez to szczęśliwym, albo też nie wracać do stanu pierwotnego, żyć nie tylko w społeczeństwie, ale i dla społeczeństwa, rezygnując z doskonałości fizycznej. Słowem ma wybierać między naturą a kulturą.

Oczywiście Śniadecki wybiera kulturę, pomimo że jest ona źródłem wielu cierpień i nieszczęść osobistych, pomimo że „przyrodzenie w utworzeniu człowieke nie miało względu na jego życie towarzyskie, ale go wydało dla siebie, dla niego samego, i dla własnego jego szczęścia”. Dlaczego tedy człowiek powinien wybrać kulturę? Na to pytanie nie odpowiada Śniadecki, i to jest niewątpliwie — ze stanowiska filozoficznego — poważny brak jego dzieła, ale bardzo łatwo zrozumiały: oto musiałby się autor wdawać w sprawę celu życia ziemskiego, to znowu w rostrząsania metafizyczne, przekraczające zakres i rodzaj nie tylko jego upodobań, ale także jego umysłowości.

Lecz idźmy dalej. Wybrawszy nie naturę, tylko kulturę i „wszystko ...do towarzyskich odnosząc widoków, musimy mieć za człowieka najdoskonalszego tego, z którego społeczność najwięcej korzysta”. Największy zaś pożytek przynieść może społeczeństwu człowiek fizycznie zdrowy; stąd pielęgnowanie zdrowia jest obowiązkiem człowieka zarówno wobec społeczeństwa, jak wobec siebie samego; „każdy niedołęga i dla siebie i dla społeczności, w której żyje, prawdziwym jest ciężarem”. Oto dlaczego „każde wychowanie moralne powinno mieć za fundament i podstawę fizyczne”.

Zasadnicze więc stanowisko Śniadeckiego jest w gruncie rzeczy to samo, co Staszica i Kołłątaja: jednostka dobrowolnie zrzec się powinna doskonałości fizycznej, która jej daje szczęście, na rzecz społeczeństwa, — tylko że Śniadecki nie dopowiedział tego, co dopowiedział Staszic: człowiek powinien naturę swoją przekształcić tak, żeby szczęście społeczeństwa poczytywać i odczuwać jako swoje własne.

Natomiast wyższość Śniadeckiego nad Staszicem i Kołłątajem polega na tem, że on dopiero jak przystało na lekarza, w całej pełni zrozumiał, czem jest dla człowieka i społeczeństwa zdrowie fizyczne: „Dobre wychowanie fizyczne szczególnych osób jest zawsze dobrodziejstwem dla kraju i społeczności”. Pedagogika wieku oświeconego zbyt głęboko tkwiła w intelektualizmie, w bałwochwalczym kulcie rozumu, żeby nie być jednostronną. Otóż wielką jest zasługa Śniadeckiego, że — oczywiście pod nie małym wpływem Rousseau'a — założył protest przeciwko jednostronności wychowania umysłowego, które, jak się mądrze i obrazowo wyraził, przenosi „cały nasz byt do mózgu” i sprawia, że mianowicie w wyższych towarzystwa klasach mało mamy ludzi, bo to, co tam natrafiamy, są po większej częci umysłowe mary albo rozumujące cienie; zdaje się, jakobyśmy rzetelny świat mieli za nic i tworzyli sobie jeszcze na ziemi jakiś gatunek życia dusznego, przez co ani tego nie dostępujemy, ani używamy tamtego”; pragnąc utworzyć sobie raj umysłowy, odkopujemy źródło niedołężności, udręczenia, tysiącznych cierpień cielesnych i tworzymy sobie na ziemi rzetelny czyściec, jeśli nie piekło”. Gdybyż przynajmniej wychowanie umysłowe przyczyniało się do rozwoju umysłu! Tymczasem jego celem jest nagromadzenie w umyśle różnych wiadomości zapomocą uczenia się na pamięć, a nadewszystko nauka języków cudzoziemskich. „Sroczą edukacją” nazywa Śniadecki taką pamięciową naukę (w „Liście do redaktora Dziennika Wileńskiego”).

Lecz obok „zupełnego oddania się pracom umysłowym z zaniedbaniem cielesnych” wymienia Śniadecki inny jeszcze grzech wychowania, — mianowicie „pielęgnowanie czułości, jej pieszczenie, podsycanie aż do przesady, lub puszczanie wolnych cugli bujnej i rozżarzonej imaginacji”. Grzech ten obarcza nadewszystko wychowanie kobiet i jest także klęską dla społeczeńtwa.

Dodajmy jeszcze, że, chociaż Śniadecki niejedną myśl zawdzięcza autorowi „Emila”, nieraz się nań powołując, to jednak nie idzie za nim ślepo; przeciwnie, nieraz wypowiada poglądy inne, swoje własne. Tak np. Rousseau „pozwala się swemu Emilowi kochać, sam mu o miłości, sam o przyszłej jego kochance rozprawia, maluje jej obraz, wdzięki i przymioty, ale maluje tak, żeby swojego wychowańca naprowadził nieznacznie i niejako przymusił do zamiłowania osoby, którą sam wcześnie upatrzył i wybrał”. Któż to, pyta Śniadecki, „zapewnił Rousseau'a, że jego Emil koniecznie naznaczoną sobie Zofiję, a nie inną wybierze kobietę? Czy filozof nie postrzegł, że, tak postępując, naraża swego wychowańca na niebezpieczeństwo lub na potrzebę powstania przeciw nauczycielowi swojemu i wypowiedzenie mu przyjaźni na zawsze? Nakoniec, chcąc tym sposobem młodzież prowadzić, trzeba ją wcześnie żenić, i naówczas boję się, żeby lekarstwo nie było gorsze jak choroba”!

Nie dosyć na tem. Rousseau mówi w „Emilu” o wychowaniu tylko chłopca zdrowego. Śniadecki protestuje przeciwko tej jednostronności, jako lekarz i jako człowiek: „Wszakże i kaleki... mają swoje zdrowie, mają swoje szczęście” i prawo do niego; przecie i oni są ludźmi i członkami społeczeństwa. „Nie masz... takiego niedołęgi, któregoby na coś ukształcić, ukształconego do czegoś użyć niepodobna”: cóż z tego, że ciało jest w nich kalekie, ale dusza jest w nich taka, „jak w kształtnych i uczonych, a umysł częstokroć znakomitszy i... dusza nie podpada kalectwom, a niedołężność i kalectwo umysłu, chociaż nam codziennie podpadają pod oczy, zdarzają się nawet w najpiękniejszym ciele, a co gorsza, są niekiedy dziełem samych filozoficznych wychowawców”. Nie trzeba chyba dowodzić słuszności tej humanitarnej tezy.

Wogóle ustrzegł się Śniadecki od skrajności genialnego Rousseau'a, a przedewszystkiem — od przeceniania „natury”, a niedoceniania „kultury”. Harmonia natury z kulturą — oto jego hasło: wychowanie fizyczne jest nietylko potrzebne, ale i konieczne, nie powinno się jednak odbywać kosztem wychowania duchowego, przeciwnie: powinno być dźwignią kultury duchowej. Mądrych — i do dziś dnia aktualnych — poglądów, rozprószonych po całem dziele ani zliczyć. Oto przykłady.

"Jeżeli... kiedy potrzeba było zwracać na to uwagę", że dobre wychowanie jest podstawą rozwoju społeczeństwa, to „najwięcej teraz, kiedy rozsiano tak wiele i tak błędnych o wychowaniu mniemań i przesądów; kiedy rozmnożenie się lekarzy i lekarek, duby i androny z nauczycielską prawiących powagą, przyczynia się do zarażenia błędami familii i pokoleń; teraz... kiedy nietylko pojedyńcze osoby, ale całe zgromadzenia i towarzystwa z mniemaną sztuką wychowawców na harc występują i sobie ją przypisują wyłącznie". Czy dzisiaj niema u nas takich „zgromadzeń i towarzystw"?

„Nauczyciele,... chcąc uchodzić za bardzo biegłych w mniemanej swojej sztuce, tworzą sobie jakieś zdania niesłychane i nowe, jakieś prawidła oryginalne, a najczęściej przewrotne, z któremi się za nic w świecie nie rozstaną". Nie brak do dziś dnia takich „nauczycieli".

I jeszcze. „Jak zaniedbanie wychowania fizycznego mnoży garbatych, koślawych i wszelkiego rodzaju niedołęgów", tak złe wychowanie umysłowe „daje z jednej strony napuszonych i nieznośnych bakałarzy, na których spojrzeć bez wzdrygnięcia ramionami nie można, z drugiej strony — pełne pokoje i sale pretendentów do nauki, rozumu i dowcipu, na których wspomnienie drży rozsądek, a którzy są prawdziwą klęską i zarazą teraźniejszych towarzystw, które by często raczej lazaretami moralnemi nazwać należało".

Miał zupełną słuszność Stanisław Brzozowski, pisząc, że dzieło Jędrzeja Śniadeckiego „O fizycznym wychowaniu dzieci", wartoby przedrukować" w takiej liczbie egzemplarzy, ile jest rodzin umiejących czytać; gdyby tylko zasady Śniadeckiego przyjęło się w całym naszym społeczeństwie, to nie wątpię, że w następnym już pokoleniu ujawniłyby się skutki, przechodzące najśmielsze nadzieje".

IGNACY CHRZANOWSKI

II

Jędrzej Śniadecki wraz ze starszym bratem Janem zapisał się złotemi głoskami nie tylko w historii Wszechnicy Batorego, ale i całej kultury narodowej. Osobistość niezwykła, o charakterze jakby renesansowym, tak wielostronna. W dziedzinie naukowej pracował wydatnie w medycynie i chemii i biologii i pedagogice, ale ubocznie nadto próbował swych sił w filozofii, antropologii, meteorologii, fizyce, a nawet w krytyce literackiej. Ale poza tem nie obcym był pracy społecznej. Pierwszy prezes wileńskiego Towarzystwa lekarskiego, współredaktor popularno - naukowego „Dziennika Wileńskiego", czynny pracownik, a z czasem prezes „Towarzystwa Szubrawców", autor wielu satyrycznych artykułów w „Wiadomościach Brukowych", a nadto ceniony jako lekarz praktyk, czynny przytem w organizacji uniwersytetu i szkolnictwa w okręgu szkolnym wileńskim, zdumiewa swą pracowitością tym bardziej, gdy się uwzględni jego wątłe zdrowie, wprost chorowitość.

Jako człowiek nauki kochał Śniadecki prawdę, żył dla niej, głosił ją z odwagą i cierpiał za nią. Wierzył w wartość i ważność nauki tak czystej, jak stosowanej. Ale chciał ją niedwuznacznie i w całej pełni widzieć polską. Pod tym względem mimo upływu tylu lat i zmienionych stosunków jest on nam tak bliski, jakby współczesny. Wyraźnie pisze w pracy „O fizycznem wychowaniu dzieci": „...choć nam się zdaje, że nauki są jedne na całej ziemi, utrzymywałem zawsze i wołałem w głos o to: że każdy naród powinien mieć swoje własne". Rodzimą naukę uważał za broń skuteczniejszą od gorących porywów zbrojnych, zapewne jak Jan krytycznie odnosił się do Kościuszki, nie entuzjazmował się Wielkim Napoleonem.

Lecz choć bezkrwawo, niemniej wśród znojów i przeciwieństw walczy o polskość nauki. Nie tylko ku zgorszeniu niektórych kolegów wykłady chemii prowadził w języku polskim, ale przodował w walce o polskość grona profesorskiego w myśl zasady, że polską młodzież owocnie kształcić i wychować mogą tylko Polacy, a nie cudzoziemcy. Jako duchowy wódz tz. narodowców naraził się grupie przeciwnej forytującej obcych na katedrach, na co żali się w listach do kuratora ks. A. Czartoryskiego i do wizytatora T. Czackiego w słowach: „dlatego właśnie, że pracowałem dla Polaków, wystawiono mię za cel szykany i poniżenia". Zniechęcony, chciał nawet porzucić uniwersytet i szukać gdzieindziej środowiska pracy dla kraju i nauki, na szczęście uległ perswazjom brata i przyjaciół, a po latach już jako emeryt, mimo podszarpanego zdrowia zdecydował się znów na objęcie katedry medycyny wewnętrznej, by nie zostawiać młodzieży, ani oddawać pod wpływy obce.

Ale był on nie tylko wychowawcą młodzieży i znakomitym lekarzem i dobroczyńcą chorych, ale przez swe artykuły ogólne w satyryczną formę ubrane starał się oddziałać na szersze społeczeństwo, zwracał uwagę na grożące niebezpieczeństwa (nędza i zbytek, wykroczenia przeciw higienie i próżniactwo), piętnował pospolite wady (pijaństwo, pieniactwo, lenistwo, nieuctwo, prywatę, wstecznictwo, tytułomanię, rozrzutność i zdzierstwo, karciarstwo, plotkarstwo, samochwalstwo, cudzoziemszczyznę...). Niedwuznacznie porusza problem żydowski, bez osłonek przedstawia szkodliwość żydów dla narodu, charakteryzuje ich jaskrawo w rozmaitych typach, oraz sytuacjach.

Naukowe jego zasługi oceniła zagranica. Zasadnicze dzieło biologiczne „Teoria jestestw organicznych" prócz kilku wydań polskich została przetłumaczona na język francuski i dwukrotnie na niemiecki. Wysoko cenił Śniadeckiego John Müller, korzystał zapewne z jego poglądów, acz bez wymienienia, J. Liebig. Wiele poglądów pedagogicznych do dziś nie straciło swego znaczenia.

Nienormalne tętno życia pod zaborem nie pozwoliło mu rozwinąć swej działalności tak, jakby to było możliwe w korzystniejszych dla uczonego warunkach. Konieczność pracy za wielu apatycznych absorbowała czas i myśli, niszczyła zdrowie, nie pozwoliła mu wznieść się na wyżyny Darwina lub Pasteura. Ale tym więcej musimy go cenić, jeżeli w tych twardych warunkach nie ugiął się, owszem tak owocnie i wszechstronnie działał, a pracując do ostatniego tchu, wiódł młodzież ku ideałom, a naukę polską wsławił nawet wśród obcych.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

PARLA IL DUCE

(ROZWAŻANIA PO MOWIE MUSSOLINIEGO W SPRAWIE *ANSCHLUSSU*) (Dokończenie)

II

ANALIZUJĄC dalej przebieg wypadków, Mussolini omawia bardzo krótko doniosłego znaczenia chwilę, kiedy Schuschnigg zarządził plebiscyt. Oświadcza wobec senatu, że zaufanemu wysłannikowi austriackiego kanclerza odradził przeprowadzenia plebiscytu, bo „jest machiną, która wam w ręku wybuchnie"— i ciągnie dalej: „uważałbym za niesmaczne chwalenie się tak łatwą przepowiednią". Wydaje się bardzo dziwne, że żadnego objaśnienia Duce nie daje w tej tak ważnej w swych kosekwencjach sprawie.

Czemu plebiscyt dokonany za inicjatywą Schuschnigga byłby bombą? Jeśli *Anschluss* — jako wyraz woli narodu miał się stać, jeśli był jednem słowem fatalizmem, tak czy owak plebiscyt ten nie mógł w niczem zmienić biegu rzeczy. Skąd więc się bierze sprzeciw Mussoliniego? Albowiem trudno przypuszczać, że się troszczył jeno o uczciwe postępowanie kanclerza Austrii. Będąc nawet przekonany o przegranej, Schuschnigg nie mógł sfałszować wyniku woli ogółu, skoro nie posiadał już swych ludzi na wszystkich kierowniczych placówkach i stanowiskach, obsadzonych przez zwolenników Hitlera od chwili objęcia teki ministra przez Seyss - Inquarta w lutym br. Swoją drogą Hitler jako Austriak, a tak powiedział o sobie nad grobem rodziców, byłby powinien się radować projektem Schuschnigga, który tak lojalnie pragnął rozstrzygnąć o losach ojczyzny. Czemu o sprzeciwie i ultimatum Hitlera nie wspomniał Mussolini?

Czy nie należy wobec tego tej sprawy rozumieć w ten sposób, że wynik plebiscytu korzystny lub niekorzystny dla Schuschnigga rozwiązywał tym samym międzynarodowe zagadnienie *Anschlussu*, a właśnie przedwczesnego rozwiązania nie pragnął dla polityki Italii wobec zachodnich państw Mussolini i przeto zwlekał z rozstrzygnięciem tej kwestii, trzymając ją w zawieszeniu — jak nowy miecz Demoklesa — nad Austrią i Niemcami zarówno jak Francją i Anglią. Gdy się przyjmie, że takie było postępowanie Mussoliniego, a wszystko wskazuje na to, zrozumiały staje się zimny stosunek Schuschnigga do rządu włoskiego oraz wypowiedziane dla efektu *ad usum Populi romani* zdanie, „że żaden Austriak nie dziękował nam za zbrojne wystąpienie po śmierci Dolfusa".

Pamiętny czasów, kiedy Austria rozporządzała losem rozbitej Italii (ale z czyjej winy rozbitej?) Mussolini zapragnął rewanżu. Z drugiej zaś strony jako polityk Schuschnigg nie zapomniał, że w roku 1917 przedewszystkiem Włochy, na czele których stał wówczas baron Sydney Sonnino (notorycznie pochodzenia żydowskiego i wielki mason) nie chiały przyjąć warunków oddzielnego pokoju skierowanych przez Karola II pod adresem Aliantów za pośrednictwem szwagra ks. Sykstusa de Burbon - Parme, rodzonego wuja Ottona ściganego dziś przez Niemcy. Przyjęcie tych warunków byłoby zakończyło wojnę półtora roku prędzej i uratowało monarchię austro-węgierską przed zagładą, lecz zburzenia jej gorąco pragnęły rządy Sonnina i Orlanda, oraz propagujący w Ameryce tę myśl Masaryk i cała jego masońska klika. Obok doktryn politycznych i wynikających zeń doktryn ekonomicznych podobne momenty natury psychologicznej również wielką rolę odgrywają w stosunkach międzypaństwowych świata.

*

Dochodzimy teraz do nie mniej ciekawego zdania Mussoliniego, obrazującego właściwie jego pogląd na dynamikę narodów, co należy cośkolwiek obszerniej omówić, gdyż jest to pojęcie zbyt pohopnie wszędzie używane. W tych słowach wyraża myśl, że Austriacy mieli zawsze na tyle ambicji (*pudore* w tekście włoskim), by nie żądać od Italii okazywania siły w obronie ich niepodległości, gdyż rząd włoski byłby odpowiedział, że niepodległość, która potrzebuje poparcia obcych wojsk nawet przeciw woli większości narodu, nie jest już niepodległością. Zdanie to jest niejasne, zakrawa cośkolwiek na demagogiczną frazeologię. A może też w niem mieści się również aluzja do postępowania Seyss-Inquarta wzywającego wojska niemieckie. Tak czy owak — niejasny styl. Nie bawiąc się w hipotezy zaglądnijmy do historii *del Risorgimento*.

Widzimy odrazu, że właśnie zrealizowanie się niepodległości włoskiej nie obeszło się bez pomocy obcych wojsk. Gdyby nie Napoleon III i jego teorie polityczne, nigdy by w roku 1861 *il Regno d'Italia* nie zostało ogłoszone ze stolicą we Florencji, a tem bardziej dokonanie zjednoczenia w 1870 roku. Powtóre widzimy, że patriotyzm włoski nie jest wiele starszy od nacjonalizmu, który datuje się od zdobycia Rzymu, tak jak niemiecki od Bismarcka, podczas gdy francuski od Joanny d'Arc, a polski od roku 1410.

Na mocy traktatu londyńskiego z roku 1720 ks. Sabaudzki od siedmiu lat suweren Sycylii, zostaje królem Sardenii, powiększając swe państwo tą wyspą wzamian za Sycylię. Od tej chwili staje się on dźwignią jedności włoskiej w wyobrażeniu reszty ludności półwyspu. Wszyscy w nim widzą zjednoczyciela Italii, lecz nikt się nie rusza dla dokonania dzieła. Gdyby odpowiadało prawdzie twierdzenie, że ruch nacjonalistyczny czy patriotyczny jest siłą dynamiczną, wobec której nic nie ostoi się, toby zjednoczenie Włoch było powinno nastąpić już po roku 1720 przez ogólne od Alp do Katanii powstanie narodu, a nie dopiero półtora wieku później przez częściowe, przy pomocy obcych wojsk. Zaznaczyć trzeba tu, że dla dynamizmu historycznego nie może tu być różnicy między zjednoczeniem a uzyskaniem niepodległości, czy przyłączeniem, A były wówczas po temu warunki, skoro hasło to było od wieków znane w całej Italii, skoro już Dante wojował piórem o zjednoczenie, a Machiavelli umierał w przekonaniu, że spełni się wkrótce jego marzenie, skoro sami papieże tego pragnęli.

Oto właśnie w tem tkwiła przeszkoda, ktoś rzuci, bo sami chcieli być panującymi. Czyż to nie obojętne kto nim będzie, jeśli można osiągnąć cel, czyli zjednoczenie? Dla dynamizmu nacjonalistycznego bowiem, dla tej niepowstrzymanej siły nie

znającej ludzkich słabostek, jak sympatia i nienawiść, musi być wszystko jedno ostatecznie, jaka droga prowadzi do mety. Chyba, że ów dynamizm nie jest żadnym dynamizmem, Istotnie niemasz żadnych nieopanowanych przez człowieka sił, któreby koniec końcem miały zdecydować o losach narodu rozumnie, roztropnie i zawsze jaknajlepiej, jak to się powszechnie przyjęło pod nazwą dynamizmu. Dynamizm bowiem — to nie żadna nieokreślona, nieznana, niepowstrzymana siła natury, która nabiera mocy z biegiem czasu po osiągnięciu pewnej granicy — jak wino (jak to trudno pisać jasno o niejasnych rzeczach).

Z chwilą gdy dokładnie określone składniki chemiczne są dobrane, otrzymamy dynamit i jeśli się spełnią inne przepisowe warunki w tym wypadku zredukowane do minimum, bo wystarczy uderzenie — nastąpi wybuch. Gdzie tu miejsce dla pojęcia o tajemniczych i niepowstrzymanych sił w dodatku zidentyfikowanych z dynamitem? Wszystkie te mętne określenia kryją jeno wyniki działalności ludzkiej, trafnej czy zgubnej, mądrej czy głupiej. I to tylko należy brać pod uwagę. Jeśli zatem w ciągu XVIII wieku nie powstało państwo włoskie, to tylko dlatego, że polityka mocarstw europejskich zarówno jak i państewek italskich sprzeciwiała się temu. Że powstało w XIX wieku to dlatego, że Napoleon I oraz jego bratanek do dokonania tego dzieła się przyczynili, a wiadomo jak pomoc bratanka potrafili wyzyskać doskonale dla ich celu Wiktor Emanuel II i Kavour. Jak mało chęci do zjednoczenia się nie wykazywali sami Włosi, dzielący się na zwolenników papieża, cesarza austriackiego, króla obojga Sycylii, na republikanów Garibaldziego i Mazziniego, monarchistów króla Sardynii i wszyscy walczący ze sobą! To dość zrozumiałe zresztą, tak najgorzej im nie było w tej różnorodności reżimów. To też w kraju o 20 milionach mieszkańców Garibaldi rozpoczął swą kampanię w r. 1860, która bynajmniej nie była jego pierwszą, z tysiącem ludzi.

Gdzie jest wola narodu? Gdzie dynamizm nacjonalistyczny? *Fortuna audaces juvat.* Dopiero po kilkakrotnie osiągniętych zwycięstwach bojowcy o niepodległość poruszyli biernych Włochów, którzy swoją drogą nie zdobyli się na rozpaczliwe nasze powstania. U nas była jednolita chęć niepodległości, a nie mieliśmy w tej rozgrywce tak ważnego atutu, jakim było państwo sardyńskie dynastii Sabaudzkiej. Chociaż w jednem powstaniu brała udział w większości jedna warstwa społeczeństwa naszego, w drugiem zaś inna, to jednak nigdy żadna część Polski nie stanęła zbrojnie przeciw drugiej, jak to się często powtarzało w historii Włoch i Niemiec. To też trudno właściwie rozsądnie mówić o dynamiźmie i fataliźmie, jako o czynniku dominującym historii narodów. Dzieje Europy nie są niczem innem jak sumą wysiłków i powodzeń, błędów i trudów ludzi z jednej strony, a imponderabiliów z drugiej strony, z którемi trzeba się liczyć i w miarę możności starać się je odgadywać, ażeby uniknąć zbyt wielkich niespodzianek. Rządzić — to przewidzieć powiedział Ludwik XIV,

*

Z dość długiej *ad usum Europae* ostatniej części przemówienia wybierzmy jeszcze jedno zdanie — na zakończenie. „Dla nas faszystów wszystkie granice są święte, nie dyskutuje się ich, lecz się ich broni". Czy to nie jakaś strzała Parta pod adresem Hitlera? Prawdopodobnie Mussoliniemu nie chodzi tyle o granice niemieckie w ogólności, jak właśnie o włosko-niemiecką w Tyrolu i w stronę Triestu. Innymi słowy niech Hitler nie marzy o żadnej zmianie nad Brenner, bo Włochy nie dyskutować, lecz bronić będą granic swych. Potwierdza interpretację tę wiadomość o inspekcji owej granicy, jakiej dokonał po *Anschlussie* ks. Umberto, nowo mianowany generalny inspektor piechoty, celem przyśpieszenia ufortyfikowania strefy nadgranicznej koło Bolzano, o czem donosiły szwajcarskie i francuskie gazety. Nie trzeba do tego artykułu innej konkluzji.

Poznań CZESŁAW TACZANOWSKI

LATA DZIECIĘCE J. U. NIEMCEWICZA

(NA PODSTAWIE NIEDRUKOWANYCH PAMIĘTNIKÓW) (Dokończenie)

SŁABSZE wspomnienia zachował o samym dworze w Skokach, z którego już nie było śladu, gdy spisywał w r. 1823 swe wspomnienia. W każdym razie dawny dwór niczym się nie różnił od innych siedzib średniozamożnej szlachty, może był tylko mniejszy, bo posiadał ledwie cztery izby, do których przybudowano jeszcze dwie, w miarę jak rodzina się powiększała. Niemcewiczowie mieli bowiem szesnaścioro dzieci, ale wychowało się prócz Juliana tylko dwóch synów Jan i Kajetan, oraz cztery córki [14]), reszta zmarła we wczesnych latach.

Wśród najdawniejszych wspomnień godnych zanotowania, z tego względu, że miały wpływ na kształtowanie się poglądów Juliana, trzeba przypomnieć także chwilę w której po raz pierwszy, oczyma pięcioletniego dziecka ujrzał niesprawiedliwość i krzywdę społeczną. Oto ulubionego kucharza Jana, który go nieraz częstował różnymi przysmakami zakuto w dyby, gdyż był zbiegłym poddanym starosty wareckiego Pułaskiego, znanego ze złego obchodzenia się z chłopami. Prawo jednak ówczesne było nieubłagane.

Raz po raz pojawiały się ogłoszenia o zbiegłych sługach i poddanych, którzy, pragnąc polepszyć swój los, opuszczali nieludzkich chlebodawców, ale zazwyczaj znajdowali się donosiciele. sowicie zresztą wynagradzani, którzy zdradzali miejsce pobytu zbiega i nieszczęśliwy chłop musiał powracać do dawnego właściciela, gdzie w najlepszym razie karano go chłostą.

Mały Julian, opłakując swego „przyjaciela" kucharza, oczywiście nie zdawał sobie wówczas

14) Anna za Tymoteuszem ze Skrzyna Duninem, Tekla została S. Kononiczką w Lublinie, Kazimiera wyszła zamąż za Antoniego Hryniewieckiego i wreszcie najbardziej ukochana przez Juliana, Benedykta poślubiła Tomasza Krassowskiego.

jeszcze sprawy z okrucieństwa istniejącego prawa, ale gdy po wielu latach będzie wygłaszał swe przemówienia na posiedzeniach Sejmu Czteroletniego w obronie najbardziej w dawnej Polsce upośledzonego stanu włościańskiego, to ognia jego słowom doda tamto wspomnienie.

W szóstym roku życia rozchorował się Julian na ospę. Wówczas rodzice, nie ufając całkowicie lekom przepisanym przez lekarza Müllera, którego sprowadzono z dóbr pana podstolego Fleminga, udali się do „szafarza życia i śmierci, do Boga, ofiarowując mię do cudownej Matki Boskiej w Wistycach, ślubując votum, i że jeżeli ozdrowieję rok i sześć niedziel chodzić będę w habicie Dominikańskim; ozdrowiałem za łaską Bożą i wraz mię obleczono w habit, szkaplerz z kapturem, dano czarną myckę i choć zrazu dziobaty, dość ze mnie był rzeźwy Dominikanek. [15]) Prócz tego ojciec kazał w kościele wistyckim u pozłacanego rękawa Matki Boskiej zawiesić srebrne votum na znak wdzięczności".

Oboje rodzice Juliana, odznaczając się wielką pobożnością, mieli zwyczaj we wszystkich strapieniach szukać pociechy w modlitwie: „ze szczerą wiarą udawali się do Matki Boskiej Wistyckiej". W adwencie jeździli dobrą milę do Brześcia na roraty, które były prawdziwą zmorą dla dzieci, bo według zwyczaju, gdy starsi wygodnie zasiadali w ławach, a nogi chowali w futrzane worki dla ciepła, to dzieciaki dreptały zziębnięte po kościelnej kamiennej posadzce. „Od tej chwili może, acz pełen Religii, uczułem wstręt wielki do długich modlitw i przesadnego nabożeństwa" — wyznaje Julian, który rzeczywiście ze wszystkich cech wyniesionych z rodzinnego domu nie zachował tylko dwóch: dewocji i jednocześnie zabobonności, którą narówni z pobożnością odznaczali się i Marceli Niemcewicz i jego żona. To prawda, że Julian wzrastał już w innej epoce, w wieku oświecenia, kiedy cała kultura była pod przemożnym wpływem racjonalizmu, ale liberalizm wieku oświecenia i lektura pism encyklopedystów ugruntowały tylko ów niechętny z dziecięcych lat stosunek do kościoła i praktyk religijnych, zabarwiając go sceptycyzmem. Z drugiej jednak strony religijna atmosfera domu sprawiła, że Niemcewicz, nigdy nie próbował walczyć z kościołem, jak czynili inni pisarze wieku oświecenia, co więcej, że zawsze miał szacunek dla uczuć religijnych, i wreszcie sam u schyłku żywota stał się znów gorliwym i praktykującym wyznawcą i nie jedną chwilę spędzał na modlitwie w kościele Assomption przy rue Saint-Honoré w Paryżu. [16])

W r. 1765 przenieśli się Niemcewiczowie ze Skoków do Klenik, [17]) ponieważ dziadek Juliana, Aleksander jeszcze za życia, czując się słabym na nogi, podzielił majętność między swych dwóch synów, t. j. Marcelego i Jana, a sam odtąd pół roku spędzał to u jednego, to u drugiego. Dwór w Klenikach „w trójnasób obszerniejszy od Skokowskiego" wznosił się nad samym brzegiem Lsny, wkoło otaczały go ciemne jodłowe lasy, które nowy właściciel za przykładem sąsiada pana Fleminga począł karczować i do Gdańska drzewo spławiać a karczowiska zamieniać na orną ziemię.

Dopiero w drugim roku po przeniesieniu się do Klenik zamknął oczy Aleksander Niemcewicz, który dla wnuka był uosobieniem dawnych rycerzy, jeszcze króla Jana zapamiętał, za Augusta II-go służył w znaku pancernym, i z stroną króla Stanisława trzymał. Lubił opowiadać o utarczkach swoich z Sasami, [18]) zaś Julian napewno lubił słuchać i dzięki gawędom dziadka poznał przeszłość swej ojczyzny zanim jeszcze nauczył się czytać. Rycerskie opowieści o dawnych czasach były pierwszym ziarnem jakie głęboko zapadło w duszę dziecka, by kiedyś rozdzwonić się w Śpiewach Historycznych kultem narodowych bohaterów; drugim ziarnem była pieśń konfederatów barskich, która brzmiała wówczas na ustach wszystkich, ułożona podobno przez samego księdza Marka, „nauczono jej i nas dzieci, nutę jej dobrze dobrze dotąd pamiętam, ze strof jedną tylko w tych słowach:

„Lutry, Kalwiny,
Bezbożne syny,
Z oyczyzny matki
Chcą szarpać płatki"

Ilekroć goście przyjechali do nas, wraz z bratem moim i małą siostrą Rozalią występowaliśmy i głosem dziecinnym pieśń tę piszczeli" [19])

W Brześciu raz stali Konfederaci, innym razem Moskale. Ojciec Juliana był naturalnie stronnikiem konfederatów, dostarczał im żywności, zaopatrywał w konie i podwody.

„Gdy do Brześcia przybył jeden z marszałków Konfederacyi, Bierzyński, zawiódł mnie ojciec do obozu Jego. Znaleźliśmy go w namiocie otoczonego konsyliarzami i towarzystwem. Zebrał on był pułk jeden piechoty królowej Jadwigi i popis nad nim odprawiał". [20])

Włóczyły się jeszcze po drogach oddziały konfederackie, gdy nadszedł czas odjazdu Juliana z rodzicielskiego domu, do korpusu kadetów, bo dotąd rodzice, zwyczajem zresztą majętniejszej szlachty, poprzestali na zapewnieniu synowi tylko domowego wykształcenia, przyjąwszy tak zwanego dyrektora, którym najpierw był niejaki Jaszczołd, student jezuickich szkół brzeskich, a później Jankowski.

„Pan Jaszczołd zaczął mnie uczyć z Alwara konjugacji i deklinacji, komponował orację dla mnie na nowy rok i wszystkie święta wielkie, na imieniny ojca mego i matki. Uczyłem się tych oracji na pamięć, były liczne próby jak je miałem powiedzieć, jak się kłaniać przed i po powiedzeniu oracji". [21])

Największym udręczeniem dla chłopca był Alwar. Książki tej serdecznie niecierpiał. „Po siedem i osiem godzin siedziałem nad nią, nauczyłem się go na pamięć, niezrozumiawszy i słowa.[22]) O innych przedmiotach, poza łaciną, nie wspomina w swoich pamiętnikach Niemcewicz. W każdym

[15]) Rks. Czart. 5559. t. I s. 11.

[16]) Klementyna z Tańskich Hoffmanowa: Listy. Kurier Warszawzki 1902 nr. 303 s. 2. i Witwicki Stefan: Nekrolog Niemcewicza. Przyjaciel Ludu 1841 nr. 51 s. 402.

[17]) Rks. Czart. 5559. t. I s. 11.

[18]) Tamże s. 13.

[19]) Rks. Czart. 5559 t. I s. 17.

[20]) Tamże s. 19.

[21]) Pamiętniki czasów moich. Lipsk 1868 s. 14.

[22]) Rks. Czart. t. I s. 14.

razie nie uczył się w domu żadnego obcego języka, francuski poznał dopiero w korpusie kadetów[23]), ale właśnie może dlatego potrafił zachować tak płomienny kult dla ojczystej mowy, w przeciwieństwie do tych jaśnie wielmożnych paniczyków, którzy niemal od kolebki słuchając tylko francuskiej paplaniny, gardzili polszczyzną i nigdy się ojczystego języka poprawnie wyuczyć nie mogli.[24])

Ktoś może powie, że umiłowanie mowy polskiej i polskiej literatury i polskiego obyczaju zawdzięcza Niemcewicz w znacznej mierze także wpływowi gen. Ziem Podolskich, że Adam Czartoryski, którego dom był, jakby drugim domem rodzinnym Niemcewicza, i wychowanie kadeckie poruszyły w Julianie strunę patryotyczną. Zgoda i nato, ale zanim, tamte poglądy znalazły dostęp, to trzeba pamiętać, że całe serce, cała dusza Niemcewicza od lat dziecięcych były pod urokiem Polski. Zanim nauczył się na pamięć dziesięciu przykazań Katechizmu Kadeckiego, to już znał oddawna jedno przykazanie, przykazanie najważniejsze — miłości ojczyzny. Usłyszał je najpierw z ust matczynych, a potem odnalazł w opowieściach dziadkowych, a potem rozbrzmiało ono pieśnią konfederatów barskich, to też śmiało można powiedzieć, że wśród wielu cech zaszczepionych w duszy Juliana przez dom rodzinny, patryotyzm wycisnął najsilniejsze, nigdy niezatarte piętno i charakteryzuje później wszystkie poczynania Niemcewicza, jako człowieka i jako pisarza, rozpłomieniając jego utwory i życie.

Kraków IRENA TUROWSKA

[23]) Rks. Czart. 5559 t. I s. 31.

[24]) Np. Mniszchowie, synowie podkomorzego litewskiego nie umieli po polsku, aż do 12 roku życia, zaś Antoni Sułkowski nie mógł się nauczyć przez całe życie ojczystej mowy. H. Kołłątaj: Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III. Warszawa. 1905 s. 28.

DROBNE NIEPOROZUMIENIA

Zaszczycony polemiką p. Jana Dobraczyńskiego p. t. „Drobne poprawki" (w Nr 20 M. N.) pragnę krótkiemi słowy usunąć kilka drobnych nieporozumień, z których właśnie owe drobne poprawki się narodziły:

1. Szanowny oponent mój utrzymuje, że ja nie przeczyłbym „w tym czasie potrzebie reformy Kościoła", gdybym i t. d. Otóż powstało tu drobne nieporozumienie, na tem polegające, że nigdzie ani słowem, ani jakimkolwiek domyślnikiem nie przeczyłem „w tym czasie potrzebie reformy Kościoła". Jestem pewien, że nastąpiło tu bezwiedne przywidzenie Szanownego mego oponenta. albowiem sądzę, że moralność jego nigdy by mu nie pozwoliła na świadome użycie takiego chwytu dyskusyjnego.

2. Gdy ja wywodzę Reformację z ducha germańskiego, Szanowny oponent przeczy mi w sposób następujący:

> „Przedewszystkiem nie mogła to być manifestacja ducha germańskiego, gdyż rygoryzm i formalizm przy zatracie pierwiastków duchowych — tak charakterystyczne dla protestantyzmu — nie odpowiadają pierwotnym cechom spotykanym u dawniejszych Germanów, słynnych z zamiłowania do wolności i silnie zaznaczonego indywidualizmu".

Ta druga drobna poprawka powstała z takiego oto drobnego nieporozumienia, że Szanowny oponent mój widzi w protestantyzmie cechy, których, podług mnie, ani śladu w nim nie ma. Nie rygoryzmem i formalizmem Reformacja przeciwstawiła się Kościołowi katolickiemu, ale przeciwnie — wolnością i indywidualnością, które aż nadto jasno wyraziły się w niej przez swobodę dyskusyjną nad sprawami dogmatyki, przez wyniesienie praw rozumu wobec objawienia, przez wolną wykładnię Pisma Świętego, przez demokratyczny ustrój kościelny, przez odrzucenie spowiedzi osobistej i t. d., a przede wszystkim przez wyłamanie się spod władzy Rzymu i stworzenie kościoła narodowego. Czy wszystkie te zasadnicze cechy protestantyzmu można nazwać rygoryzmem i formalizmem? Czy nie są one cechami zamiłowania do wolności i indywidualizmu? A jeśli są nimi, to słuszność pozostaje przy mnie, albowiem te właśnie cechy, jak to sam Szanowny mój oponent stwierdza, „odpowiadają pierwotnym cechom, spotykanym u dawniejszych Germanów".

W każdym razie byłoby to z korzyścią dla sprawy, gdyby Szanowny oponent zechciał przytoczyć dowody na swoje twierdzenie, że znamiennemi cechami protestantyzmu są rygoryzm i formalizm z dodatkiem zatracenia pierwiastków duchowych.

3. Trzeciem z kolei drobnem nieporozumieniem jest atak Szanownego oponenta na moje twierdzenie, że „protestantyzm jest tworem ducha germańskiego opartym na bliższym mu duchowo świecie żydowskim". Szanowny oponent mój „nie widzi podstawy do twierdzenia" tego, ale zaraz w następnym wywodzie sam tę podstawę w bizantynizmie wynajduje i poglądu mojego przed własnym swoim atakiem tak skutecznie broni, że do takiego oto wniosku dochodzi:

> „Protestantyzm nieświadomie, judaizm zaś współczesny celowo tkwią wciąż w drugim etapie praw i zakazów, które zawsze można obejść. Dlatego protestantyzm karmi się wciąż namiastką, jaką jest Stary Testament, natomiast żydzi sięgnęli do innego źródła, będącego kodeksem omijania Prawa Bożego — do Talmudu".

Słowem, Szanowny oponent mój utrzymuje to samo, za co mnie przed chwilą zgromił. Po raz pierwszy w życiu zdarza mi się tak cudowny wypadek, że mój przeciwnik polemiczny naprzód stawia mi zarzut, a następnie bezpośrednio mnie od tego swojego zarzutu z dużym nakładem uczoności broni.

Wprawdzie ja sam obroniłbym się argumentami o wiele silniejszymi, lecz mimo to mogę tylko najuprzejmiej podziękować Szanownemu oponentowi mojemu za tak uprzedzająco grzeczne wyręczenie.

4. Czwartem drobnem nieporozumieniem jest zniekształcenie przez Szanownego oponenta słów moich, które tu (w punkcie trzecim) podałem w brzmieniu prawidłowem. Ja powiedziałem: „protestantyzm jest tworem ducha germańskiego opar-

tym na bliższym mu duchowo świecie żydowskim”. Zaś Sz. Oponent mój zdanie to przytocył w formie następującej: „duch germański oparty jest na bliższym mu duchowo świecie żydowskim“. Istnieje, oczywiście, gruba różnica w tem, czy to protestantyzm, czy duch germański oparty jest na świecie żydowskim...

Zdaje mi się, że pierwszym warunkiem każdego sporu jest rzetelność w przytaczaniu słów przeciwnika, czego Szanowny mój oponent zaniedbał jeszcze i w innem miejscu, także przez niego zniekształconem, jakkolwiek także w cudzysłów ujętem. Mianowicie Szanowny oponent mój mówi:

„Na marginesie już tylko wspomnę, że zastrzeżenie musi także budzić uznanie dla „moralnego wzlotu” myśli Nietzschego, czy Schopenhauera”.

Otóż tych słów ujętych w cudzysłów — „moralnego wzlotu” — ja nigdzie nie użyłem. Powiedziałem tylko „czy nie wznosili (w szczególności Nietzsche) sztandaru moralności do wyżyn najszlachetniejszych?” Można tu rzec, że sens obu powiedzeń w tym wypadku jest bardzo bliski. Przypuśćmy! Ale tu chodzi o to, dlaczego Szanowny oponent ujmuje w cudzysłów słowa, których jego przeciwnik nie wypowiedział? A tem samem — zmusza przeciwnika do straty czasu i miejsca na poprawianie cudzych zaniedbań i lekceważeń——?

Drobne są to sprawy tych drobnych nieścisłości, naturalnie! ale, po pierwsze, taka drobnostka może biegunowo odmienić sens przytoczenia, a po drugie, jest to w gruncie rzeczy sprawa dyscypliny myślowej, a ta jest czemś więcej, niż dobrem wychowaniem polemisty.

Nie będę tu wszczynał sporu o wartość moralnej postawy obu wymienionych wyżej filozofów, ani w szczególności Nietzschego, którego Szanowny oponent mój z gruntu mylnie osądził. Niech już trzymam się do końca tylko nieporozumień, które wprost moich poglądów, albo słów dotyczą.

5. Szanowny oponent mój sądzi, że w stosunku do książki p. J. Mosdorfa:

„Zbyt surowo oceniam tę pracę, przykładając miarę bądź co bądź naukową do książki, która jest przedewszystkiem broszurą polityczną, a więc z konieczności operuje pewnymi ogólnikami”.

Tu znowu tkwi pewna ilość drobnych nieporozumień. Przede wszystkim, trzeba odważyć się na dużą przesadę, żeby pracę o 445 stronicach nazwać broszurą polityczną. Następnie, trzeba jeszcze większej odwagi, ażeby broszurę polityczną usuwać spod oceny naukowej. Jakąż należy miarę do niej stosować — artystyczną, czy rozrywkową...? Sądzę nawet, że zasadniczo uraziłbym autora książki o tak poważnych tematach, gdybym do niej jakieś lekkie wymagania przykładał. A dalej, w krytyce mojej nie zarzucałem tej książce, że „operuje ogólnikami”, ale przeciwnie — wymagałem od niej ogólników, a to pod postacią syntez historjozoficznych, oraz wszelkiego rodzaju wywodów ogólnych w przeciwstawieniu właśnie do zbytniego konkretyzowania i rozdrabniania, które stanowią wadę książki p. J. Mosdorfa. A wreszcie, oceniałem książkę ściśle w granicach zapowiedzi, które jej autor sam we wstępie poczynił. Wyłuszczone tu punkty obronne całkowicie zabezpieczają krytyczną moją względem tej książki lojalność, a zarzutowi Szanownego mego oponenta wszelką słuszność odbierają.

Przy sposobności wyjaśnić tu pragnę (o co Szanowny oponent mój zahaczył), dlaczego pogląd p. Mosdorfa na Reformację nazwałem „beznadziejnie płytkim”. Dlatego, że pogląd ten jest nie tylko mylny, ale nadto (co każdy przyzna) z najbardziej powierzchownych objawów zjawiska sformowany, a więc łatwy i szeroko rozpowszechniony. To właśnie zapewnia mu nieśmiertelność, czyli beznadziejność jego płytkości.

Pomijając kilka spraw ważnych, ale sporu naszego bezpośrednio nie dotyczących, na tem kończę opis nieporozumień, jakie wkradły się pomiędzy dwa przeciwstawne sobie stanowiska.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

BAJKI

(WEDŁUG LAFONTAINE'A)

LIS I LIPA

Nie jeden z możnych tego świata
podobien, by powiedzieć krótko...
Czekajcie! bajką o tem ładniej.

Kłapouch w pas się przed nim kłoni,
a lis, wiadomo, chytra sztuka,
przyjdzie, przykucnie na ogonie,
myk mu do wewnątrz tędy — sięgy
z prawej go głaśnie, z lewej szczypnie,
ówdzie obmaca najprześcipniej
i, gdy zmiarkuje wkońcu swędem
zdrowym, że to-to wszystko **lipa**,
zaraz plwa, omal nie klnie z ruska:
— Fi - fi - figura! macież mi go!
kadłub cacany, głowa pusta!

Ile też u nas takich figur!

OSIEŁ W NIMBIE

Hi! ubrdał sobie jeden osieł,
co świątki po odpustach nosił,
że wszyscy jemu się kłaniają,
że jemu kadzą i śpiewają.

— Puknij się, — ktoś go wreszcie zekpa, —
pokiełbasiło ci się w klepkach?
pycha tę trochę mózgu ćmi ci?
Słysz: nie dla ciebie, lecz dla świątka
szumią chorągwie, brzęczą dzwonki,
litania rwie się, jarzą świce!

Na urzędnikach urząd nimbem,
którym gbur w oczach swoich rośnie.
Cała, obywatelu, sztuka w tem, byś
odróżnić umiał nimb od osła!

JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

Moja nagroda. — Dlaczego niespodziana. — Człowiek w obrotach samotwórczości narodowej. — Świat tworzony siłą ducha. — Potrzeba energii psychicznej. — O zmyśle życia i jego trzech wymiarach. — Rasa pełnej krwi. — Wymiana pokoleń.

NIE będzie to chyba wykroczeniem przeciwko zasadom przyzwoitości, jeśli się przyznam do pewnego rodzaju słabości bardzo zresztą ludzkiej. Oto w tych dniach zgotowano mi owację jako pisarzowi, który przez tyle a tyle lat tyle a tyle pisał itd. Odznaczono mię i nagrodzono na sądzie literackim, zorganizowanym przez wydawnictwo „Prosto z Mostu". Odbyła się z tego powodu akademia, gdzie mówiono o moich „zasługach"...

Pamiętam, jak śp. Stanisław Niewiadomski na swoim jubileuszu, wysłuchawszy szeregu przemówień, powiedział:

— To wszystko, co słyszałem, to wielka przesada. Ale jakże przyjemnie tego słuchać!

Chciało mi się powiedzieć to samo. Ponieważ wszystko odbyło się publicznie, a nie wszyscy czytelnicy „Myśli Narodowej" dyskursy te słyszeli, więc pozwolę sobie powtórzyć tutaj, co odpowiedziałem. Oto niżej streszczenie.

— — — — — — — — — — — —

Nie chcę stawać w pozie człowieka skromnego i udowadniać, że na tę nagrodę nie zasługuję. Przyjmuję jednak tezę o mojej zasłudze na wiarę łaskawych sędziów, bo im wierzę, że powzięli uchwałę zgodnie ze swem sumieniem, bo wierzę młodemu pokoleniu, które oni reprezentują, że odczuwa potrzebę liczenia się z dorobkiem pokolenia starszego.

Jeżeli mówię, że nagroda była dla mnie niespodziana, to dla tego, że nigdy o nagrodzie dla siebie nie myślałem. Ona mnie zaskakuje i zmuszając do porachunku z sobą w tak osobliwej chwili, wytrąca z równowagi. Praca pisarska mojego typu ma charakter bezosobisty. Zajęta badaniem tętna środowiska lub innych pisarzy, zapomina o swojem. Gdyby zegarowi kazano się zastanowić nad tem, jaką wartość przedstawia, to pewnoby stanął. Bo to nie jego rola.

Tak i my, moi panowie. Zadaniem naszem jest iść, iść bezustanku. Nakręcił nas los na całe życie. Jesteśmy w służbie ducha czasu, który wydzwaniamy minuta za minutą, godzina za godziną, ani tchu złapać. Włada nami jakaś „siła fatalna" mocniejsza od bodźców zewnętrznych. My nie pracujemy jedynie pod przymusem zewnętrznym głodu chleba czy zaszczytów, nami włada mus wewnętrzny, a ten jest bardziej kategoryczny. Działa w nas psychika zbiorowości, z którą dzielimy się duszą swoją. Ona nas wciąga w wielki kołowrót machiny, wytwarzającej cywilizację narodową.

Dla nas dzisiejszych świat nie jest jeden, jak było za czasów monizmu materialistycznego. Są dwa światy. Jest natura i nad nią drugi świat ludzki, tworzony przez człowieka, świat duchowy, wyzwolony z ucisku materii, oparty na wolnej woli. Ten nasz los tworzenia swego świata wynika z natury idealistycznej ducha ludzkiego. Człowiek poddający się władaniu tej mocy, zyskuje swobodę tworzenia; rozrasta się jego indywidualność, otwierają się przed nim perspektywy metafizyczne. Na tych drogach tworzenia człowiek spotyka się z zagadnieniem narodu i zdobywa nacjonalistyczny pogląd na świat.

Humanizm nacjonalistyczny bierze człowieka za podstawę świata tworzonego. Pozwala on widzieć świat w świetle Opatrzności, która duszy przepisała drogę doskonalenia się w trudzie tworzenia własnej cywilizacji. Jest to droga rozrastania się człowieka przez siły psychiczne narodu i uświęcania jego duszy przez wysiłek wolnej woli i ofiarę.

Z tego stanowiska humanistycznego otwiera się we wszystkie strony widok na procesy tworzenia cywilizacji. Wszędzie w podstawie wszystkich rozgałęzień pracy widzimy tego samego człowieka. Stąd też widać, czem jest człowiek w literaturze. Jeżeli panowie zwrócili uwagę na moją działalność jako krytyka literackiego, to dla tego — jak sądzę — że usiłowałem zawsze wydobyć z niej człowieka, bo potrzebne jest waszemu patrzeniu na świat poznanie duszy twórczej. A literatura jest najlepszym środkiem poznania głębin tej duszy.

Skoro literatura narodowa ma być — jak to ogólnie uznano — wyrazem stanów świadomości narodu, to krytyk literacki, badający prawa powstawania tej świadomości, musi stwierdzić, że żywotność literatury pozostaje w prostym stosunku do żywotności tego źródła, którem jest dusza człowieka.

Doświadczenie mnie pouczyło, że ta żywotność — nazwijmy ją energią psychiczną — bywa większa lub mniejsza w zależności od tego, jaką człowiek ma zdolność o d c z u w a n i a ż y c i a, tego życia, które ma go porwać w swoje obroty. Chodzi o to, żeby czucie życiowe było w porządku. Może dlatego, że z wiekiem energia psychiczna słabnie, coraz wyraźniej czuję potrzebę robienia nacisku na zagadnienie żywotności psychicznej. Wszystkie środki kultury zarówno duchowej, jak i wychowania fizycznego czy poprostu higieny kierować trzeba ku temu, aby potęgować w Polsce energię życia.

W tem, co psychologia nazywa czuciem życiowem będącem podstawą i kierownictwem wszystkich zmysłów, tkwi siła, która człowieka dobywa ze świata przyrody. Znajdują się tutaj trzy ważne pierwiastki: ciekawość życia, żądza życia, entuzjazm życia. Stąd się drogi rozchodzą na tereny poznawania, zdobywania i wzruszania pięknem życia. Energia, wydajność i wartość życiowa wszelkiej twórczości pozostaje w prostym stosunku do tej siły rzutu.

Wyobraźmy sobie naród, w którym by wszyscy ludzie obdarzeni byli tą pełnią siły, a wyobraźnia nasza dosięgnie wyżyn, do jakich Konrad pragnął dźwignąć naród, aby go uszczęśliwić i cały świat nim zadziwić.

Chciałbym, aby to hasło potęgowania sił psychicznych było pieczęcią na dzisiejszym akcie, tak dla mnie uroczystym.

— — — — — — — — — — — —

Powiedzą mi na to, że nie jest to odkrycie oszałamiające. Po pięćdziesięciu latach pracy pi-

sarskiej dojść do przeświadczenia, że sekretem świata ludzkiego jest wola życia — to niewiele. A ja jednak powtórzę: to — wszystko. Chciejcie żyć, chciejcie chcieć. *Vivite vitam.*

Wieleby o tem mówić. Chciałem przy okazji tylko tyle powiedzieć, że nie wystarczą nam najpiękniejsze hasła i systemy, jeśli pomylimy elementarne instynkty. Poprawić trzeba rasę polską w drodze umiejętnej kultury wychowawczej, aby ta rasa wydawała na świat ludzi pełnych, bo tylko z takich ludzi złożony naród ma w sobie możliwości życia wielkiego.

Wrócę jeszcze do nagrody, od której zacząłem. Najcenniejszą jej wartość widzę w tem, że umotywowali ją przedstawiciele młodego pokolenia pisarzy. Bo to dowód spójności życia i narastania jego energii. Cóż byłoby z życia duchowego, gdyby się urywało, jak fizyczne?

ZYGMUNT WASILEWSKI

Z OBCEGO ŚWIATA

WIZYTA RZYMSKA KANCLERZA HITLERA

WYDARZENIEM dni ostatnich najważniejszym stała się wizyta kanclerza Niemiec Adolfa Hitlera w Rzymie.

Zapowiedziana zdawałoby się niedawno a w czasie jednak... tak odległym, miała być ukoronowaniem porozumienia a nawet sojuszu, prawdziwej *entente cordiale* między Berlinem a Rzymem. Przyszły jednak fakty. Jedne za drugimi.

Fakt pierwszy: włączenie Austrii w obręb ziem III-ej Rzeszy, co pozbawiło Włochy pewnego rodzaju protektoratu, jaki roztaczały nad Wiedniem. Italia przestała być gwarantką niepodległości państewka autriackiego, przez co wycofała się z Europy środkowej, a nawet zmuszona była do zajęcia pozycji obronnej na swej północnej granicy.

Fakt drugi: porozumienie włosko - angielskie. Mniejsza, czy wielkie zwycięstwo Anglii uosobionej w Chamberlainie, czy wielkie zwycięstwo Włoch faszystowskich uosobionych w Mussolinim. W każdym razie reakcja na *Anschluss* Austrii. To nie ulega dyskusji.

Fakt trzeci: usiłowanie nawiązania przyjaznych stosunków między Francją a Włochami. Niewątpliwie następstwo porozumienia włosko - brytyjskiego, wydarzenie, aczkolwiek jeszcze nie doprowadzone do finału, to jednak doniosłe, chociażby w samych zamierzeniach.

Tak tedy kanclerz Hitler będzie musiał w czasie swojego w Rzymie pobytu wiele odrobić, wiele — z punktu widzenia polityki niemieckiej — naprawić.

Jakie będą wyniki tej podróży? — Doprawdy trudno przewidzieć. To pewna, że świat cały ma dzisiaj oczy zwrócone na Rzym i oczekuje. Oczekuje wyników, które mu powiedzą, czy mocniejsza będzie oś Rzym—Berlin, czy mocniejszy z powrotem wiązany węzeł dawnej koalicji.

Od wyników podróży kanclerza Hitlera do Włoch zależeć też będzie w dużej mierze i los Czechosłowacji. Dzień w dzień powtarzające się ataki Henleina inspirowane przez Berlin stworzyły z Pragi prawdziwie zapalne ognisko w Europie. Ognisko to staje się tym niebezpieczniejsze, że żagiew swą płonącą dorzuca do niego i Moskwa, która po wycofaniu się z półwyspu pirenejskiego i po rezygnacji z wywołania tam rewolucji, musi sobie szukać ekspozytury w Europie, gdy jej, bowiem, nie znajdzie, zmuszona będzie stać się państwem o zainteresowaniach wyłącznie azjatyckich. Stąd nakaz patriotyzmu, wydany przez Moskwę komunistom czeskim.

Kto wie czy zakusom hitlerowskim na Czechosłowację przeciwstawiać się jednak nie będzie Mussolini, nie ze względów innych, jak tylko szukania sobie rekompensaty za pozbawioną własnej niepodległości Austrię. Kto wie, czy nie wysunie swej kandydatury na gwaranta niepodległości Czechosłowacji.

Odpowiedzi na wiele pytań oczekuje dziś świat cały po wizycie w Rzymie kanclerza Hitlera. Wiadomem jest przecież, że zetrą się w czasie rozmów ambicje i dające wyraz tym ambicjom polityki dwóch krajów: Włoch i Niemiec.

Ambicje, które są zbieżne w dużej mierze, ale i takie, które się nawzajem wykluczają.

To pewna, że zapadły tam decyzje ważkie.

Czy i kiedy się o nich dowiemy?

A najciekawsze — w jakiej formie?...

LITWA I ESTONIA

SPRAWA stosunku Polski do Litwy i naodwrót, weszła — zdawałoby się — w stan normalizacji. Tak ją, w każdym razie pragniemy widzieć my. Ale normalizacja nie oznacza jeszcze pokonania trudności. Kowno, we własnym interesie — a to trzeba z naciskiem podkreślić — winno jak najszybciej, złamać szkodliwy dla siebie upór, który — nie łudźmy się — trwa.

Nie jest bynajmniej rzeczą przypadku, że zaszczyt reprezentowania Rzeczypospolitej w Kownie powierzono b. posłowi polskiemu w Estonii.

Estonia i Litwa. Dwa państwa z konstelacji bałtyckiej, dwa państwa wielkością obszaru, liczbą ludności, sytuacją geograficzną, a co za tym idzie, polityczną, bardzo do siebie podobne. Dwa państwa, jakże — w gruncie rzeczy — odmienne!

Estonia zrozumiała, że ją z nami nic nie dzieli a wszystko łączy, że w przymierzu najściślejszym zyskuje nie tylko gwarancję swej niepodległości, ale także pozycję, która zezwala na odgrywanie poważnej roli w polityce międzynarodowej, przykładem choćby przebieg ostatniego incydentu litewskiego. Estonia jest czynnikiem równowagi nad Bałtykiem przez swe pełne zrównoważenia i rozsądku postępowanie, postępowanie godne pochwały, świadczące o rozumie politycznym kierowników jej nawy państwowej.

Państwa bałtyckie łatwo stać się mogą przyczyną wojny, a każda wojna — może oznaczać kres ich suwerenności. Apetyty przecież zarówno imperializmu sowieckiego, jak i imperializmu niemieckiego, któremu drogi nad brzegami Morza Bałtyckiego wytyczył Rosenberg wyraźnie sięgają szeregu owych niepodległych państw, których początek na granicy Prus Wschodnich rozpoczyna

Litwa. I Litwa, właśnie ona, musi zrozumieć swą rolę, doniosłą zarówno jeśli idzie o możliwości rozpętania burzy wojennej, jak i o możliwości zachowania pokoju.

Szukanie oparcia już to o Związek Sowiecki już to o Niemcy, byłoby z jej strony poszukiwaniem skuteczniejszego środka samobójstwa. A to przecież nie jest zadaniem żadnego z państw prawdziwie niezależnych i ceniących swą wolność.

Polska, nawiązując normalne stosunki z Litwą, pragnie iść po linii, którą jej dyktują instynkty urobione historycznym, tak bliskim, najściślejszym współżyciem. W postępowaniu naszym nigdy nie przejawiała się jakaś niechęć, czy nienawiść. Na sprawę litewską patrzymy do tej pory, jak na dwie koncepcje polityczne jednego historycznego narodu. Boleliśmy wiele nad koncepcją, która dzieliła, nie od dzisiaj. Jeszcze czasu przedwojennego. Zwłaszcza, iż była koncepcją inspirowaną przez obcych.

Obecnie nadszedł czas najwyższy, aby to wszystko sobie uprzytomnić. I wyciągnąć konsekwencje.

NAUKA I LITERATURA

TRZY SERCA

NOWA powieść autora „Kariery Nikodema Dyzmy" [1]) zdaje się zwiastować korzystny zwrot w twórczości tego pisarza. Po szeregu sensacyjnych powieści nie gardzących łatwizną literacką mamy teraz solidne studium powieściowe, aczkolwiek na sensacyjnem zdarzeniu osnute.

„Trzy serca" to dzieje pięknej hrabianki, którą umierająca dwórka, służąca od lat w dobrach jej ciotki w Poznańskiem, uczyniła jedyną spadkobierczynią strasznej tajemnicy. Oto, przed laty, w czasie swej młodości i wczesnego nader macierzyństwa karmiła jako mamka także i przyszłego dziedzica wielkich tych włości, Rogera Tynieckiego. Miłość macierzyńska popchnęła ją do zbrodni: zamieniła swego syna, w bliźniaczym wieku, z Tynieckim. I odtąd hrabia wychowywał się w prostym stanie, awansował z biegiem lat na pisarza prowentowego. Prawdziwy zaś Maciejek Zudra korzystał ze wszystkich przywilejów, przysługujących panu na Prudach z przyległościami: kształcił się w Anglii, podróżował, tracił nieprawdopodobne sumy na przeróżne szaleństwa i w gruncie nic nie robił.

Michalinka, bo takie było imię nieuczciwej piastunki i mamki, dręczona wyrzutami sumienia, wyznała całą prawdę przed śmiercią księdzu na spowiedzi a za jego radą także i panience z pałacu. Sensacyjne odkrycie sprowadza przewrót zarówno w życiu skromnego do niedawna oficjalisty jak i w błyszczącej karierze rzekomego Rogera Tynieckiego. Komplikuje sprawę fakt, iż ręka Kate została przyrzeczona, strąconemu już z piedestału majątku i pozycyj socjalnej, Maciejowi Zudrze — wówczas, gdy nikt jeszcze nie wątpił o prawdziwości jego tytułu i nazwiska. Kate dotrzymuje słowa i wychodzi za niekochanego w rzeczy człowieka. Gogo zresztą (*nomen omen*), dawny hrabia Roger, wykoleja się rychło, nie potrafi przystosować do zmienionej sytuacji materialnej i nowej pozycji towarzyskiej.

Przeciwwagę kompozycyjną jego upadku stanowi podźwignięcie się „pana Maćka". Podobnie jak Gogo, kocha on, acz skrycie od najwcześniejszej młodości uroczą, złotowłosą Kate. Miłość ta nie pozwala mu schłopieć w twardem życiu pałacowego służki i sprawia, że przez samokształcenie i później, oczywiście przez znagła rozbłysłą pomyślność osiąga on szczyty kultury, staje się głośnym pisarzem.

Pomysłu, zaiste uiezwykłego dostarczyły Mostowiczowi dzienniki. Posłuchajmy, co pisze Warszawski Dziennik Narodowy w numerze ze środy, dn. 17 lutego 1937 r.:

„SENSACYJNE WYZNANIE MAMKI

Poznań, w lutym.

Niezwykły dramat ujawniono w znanej rodzinie ziemiańskiej Sz. w Poznańskim.

Przed 30 laty pani Sz. powiła syna. Do dworu przyjęto mamkę, która miała karmić niemowlę jednocześnie ze swym synkiem. Dzieci chowały się zdrowo i syn państwa Sz. ukończył gimnazjum, a później wyższe studia rolnicze. Jego mamka wraz ze swoim synem mieszkała nadal w czworakach, a mleczny brat młodego dziedzica był fornalem.

Niedawno mamka młodego pana Sz. zachorowała ciężko i konając, zdobyła się na dramatyczne wyznanie, przyznając się do tego, że 30 lat temu zamieniła niemowlę, syn państwa Sz. zamieszkał w czworakach, swoje zaś dziecko oddała do pałacu. Ksiądz udzielający staruszce ostatniej pociechy religijnej, wezwał kilku świadków, w obecności których staruszka potwierdziła swoje zeznania, poczym wydała ostatnie tchnienie. Wieść o tym niezwykłym zdarzeniu wywołała wstrząsające wrażenie u państwa Sz. i w całej okolicy, Obecnie, jak słychać, państwo Sz. zamierzają kupić dla swego syna fornala majątek na Kresach i zająć się dalej jego wychowaniem".

Tyle, gdy mowa o dziennikarskim autentyzmie Mostowicza.

Zaletą powieści jest sumienne potraktowanie psychologii osób działających, oraz dobre studium obyczajowe współczesnej „cyganerii warszawskiej", zalewającej się co noc alkoholem, jak sądzić z tej, miarodajnej relacji, w ilościach zgubnych dla każdego talentu.

Występuje tam między innymi niejaki Seweryn Maria Tukałło, karykatura potrosze słynnego Fiszera, animatora kawiarnianego artystów. Onże Tukałło paple wciąż, co mu ślina na język przyniesie. W tych mało odpowiedzialnych tyradach trafiają się miejsca, na które autor w żadnym razie nie powinien się zgodzić.

Oto na str. 92 pozwala sobie na następujące porównanie:

„Nie zapominaj, że wszyscy na prawdę wielcy myśliciele i twórcy nowych dróg ludzkości nie zapisali ani ćwiartki papieru. Budda, Sokrates, Chrystus, Zoroastra. Nauczali. Nauczali! A dopiero ich uczniowie skwapliwie łapali strzępy wielkich myśli i zapisywali".

A gdzieindziej, na str. 112:

„— Ale arcydzieł męskich historia zarejestrowała wiele. Natomiast kobiecych niewiele. Beatrice, Laura, czy Maryla skompromitowały się haniebnie. Joanna d'Arc? W atmosferze kultów religijnych krytycyzm niechętnie funkcjonuje. *Timeo Danaos et dona ferentes.* Królowa Jadwiga?... Tu znowóż mgiełki patriotyczne, a gdyby tak zbadać, czy rzeczywiście były narzeczony nie składał wizyt na Wawelu to mogłoby się okazać, że Niemcy uzyskali choć po paru wiekach rewanż za Wandę, co wprawdzie nie chciała Niemca, lecz mogła być mniej oporna wobec rodaków. Gioconda? Wiemy co o niej sądzić...".

W atmosferze wzrastającego kultu Dziewicy Orleańskiej, Patronki Francji i specyficznie polskiej czci dla królowej Jadwigi, której dźwignięcie — wbrew Niemcom — na ołtarze staje się dziś ambicją narodową, słowa tak lekkomyślne (chciejmy wierzyć) są w stanie nietylko zdyskwalifikować książkę, ale i postawić pod znakiem zapytania użyteczność autora w służbie narodowej kultury. Sam byłem niedawno świadkiem rozmowy na powyższy temat w pewnej

[1]) Tadeusz Dołęga Mostowicz. Trzy serca. Warszawa — 1938. Tow. Wydawn. „Rój", str. 377.

instytucji społecznej, gdzie wprost zakazywano niniejszej książki, jako siejącej zgorszenie, nie nadającej się więc np. do popularyzowania. *Nota bene*, powyższe, wielce ryzykowne poglądy nie budzą w danej sytuacji powieściowej wśród ukazanych biesiadników niczyjego sprzeciwu, nosząc jakby na sobie aprobatę autora.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń stwierdzić należy bezstronnie, że książka nie jest pozbawiona ambicyj literackich, zwłaszcza w rozwiązaniu trudnego problemu, czy mianowicie kultura jest wartością wrodzoną czy dobrem nabytem i w jakim stopniu t. zw. człowiek kulturalny pozostaje pod sugestią środowiska? Również dyskretne potraktowanie zagadnień erotycznych stanowi pewne *novum* u Mostowicza. Powieść ta stanowi pozatem ciekawy fenomen dopracowania wyobraźnią wątku poddanego przez życie.

St. J.

POWIEŚĆ O ŻYDACH [1])

Powieść Rudnickiego przedstawia żydów w ich podstępnym knowaniu, którego celem nie dopuszczenie żywiołu polskiego do zajęcia twórczego stanowiska w handlu i przemyśle. Jednak w tej konkurencji żywioł polski wcale nie okazuje się słabszy. Mamy tu na myśli przede wszystkim fabrykę atramentu w Warszawie, Podchamskiego i Syna. Rozwija się ona świetnie mimo intryg żydowskich. Już gorzej się przedstawia rzecz z handlem w Niemsacicach, gdzie ziemianin Bielski ma do zwalczenia potężnego Nuchima Złotnickiego. Żydzi nie cofną się nawet przed zbrodnią (truciem koni, podpaleniem), byleby celu swego dopiąć. Pomagają im niestety niektóre jednostki takie jak policjant Strzelczyk, prokurator Lisiecki, którzy staną w sprawie „pogromu" raczej po stronie żydowskiej, chociażby tam nie było sprawiedliwości.

Walka wre i na innym terenie z żydostwem. Oto profesor uniwersytetu, Złotnicki, wprawdzie wychrzczony, ale ostatecznie powraca do swoich, a syn jego, Henio, będzie agitatorem komunistycznym. W domu stryja Nuchima, dokąd ścigany przez policję przybywa młody Złotnicki, odbywa się proces powrotu do wiary przodków. To pozwala autorowi odsłonić duszę żydowską w świetle talmudu. Poznajemy też gimnazjum żydowskie, poglądy profesorów i młodzieży, zepsucie rodzinne, zmaterializowaną nawskroś duszę żydowską. Agitacja komunistyczna w Warszawie, ogłupianie robotników, bezbożnictwo, plany masońskie — oto nie cały jeszcze poczet win Izraela. Na gościnne występy przyjadą też żydzi z innych krajów, jak n. p. Leo Cachetemps, który zdemaskowany okaże się zwyczajnym opryszkiem (Lejb Kasztan), albo dr. Lanius z Kołomyi.

Powieść, wynikła z przeżyć i tendencyj dnia dzisiejszego, tym się szczególnie zaleca, że szczegółowo nam maluje obraz duszy żydowskiej lub co niebezpieczniejsza — kryptożydowskiej. Z drugiej strony każe wierzyć w żywotność żywiołu polskiego, który mimo szalonej konkurencji i wysiłku ze strony żydowskiej jednak daje sobie radę z przybyszami.

(J. Św.)

RUCH WYDAWNICZY

W a c ł a w G r u b i ń s k i. „Listy pogańskie". Warszawa, 1938. Wydawnictwo Hoesicka.

Milczący od dłuższego czasu, świetny stylista, doskonały komediopisarz przypomniał się po swojemu, książką pisaną w zupełnem oderwaniu od zgiełku życia i pasjonujących świat namiętności, powstałą jako produkt wczasów literackich, dla nasycenia spragnionych harmonii i piękna władz duszy rasowego estety.

Jest to zbiór listów Rzymianina, zesłanego przez wszechwładnego ministra Tyberjusza, Sejana do Jerozolimy i pocieszającego się obszerną i piękną korespondencją do przyjaciela, korzystającego ze szczęścia pobytu w Stolicy Świata. Dowiadujemy się, jak wyglądała w owe czasy, pod rządami tetrarchy Heroda Antipasa i prokuratora rzymskiego Piłata, niesforna prowincja judejska; widzimy wschód daleki, nawet w osobie jednego z pierwszych chyba japońskich handlarzy tkanin.

Przy okazji autor folguje swej wrodzonej skłonności opowiadacza pięknych i głębokich acz prostych baśni i rzuca ich kilka, zupełnie nowych na karty książki (japońskich i żydowskich). Prześliczna jest tutaj alegoryczna opowieść o dwóch pisarzach judzkich, z których jeden zwał się Jus drugi Nizocha: pierwszy był sługą dworu i sławnym ale nie czytanym już przez nikogo, a drugi mówił wprost z serca i do duszy ludu. Po śmierci obydwu oceniono należycie.

W scenie sporu sofistów trafnie i ciekawie ujęty został kontrast dwóch kultur: helleńskiej i żydowskiej. Tej ostatniej poświęcone zostało sporo miejsca i wiele słusznych spostrzeżeń. Negacja mędrców żydowskich i ich niepokój umysłu jako antyteza helleńskiego umiaru i sztuki życia nie były w stanie zapłodnić ludzkości twórczą syntezą. Świat pogański obumierał ze szlachetnym gestem i z pustką w duszy i sercu, zdolny p o z n a w a ć nie zdolny c h c i e ć. Boska interwencja Zbawiciela zapoczątkowała nowe życie nie tylko na gruzach starego, ale i chroniąc dla przyszłości to, co ręką podaną uchwycić było zdolne.

Należy żałować, że autor ukazał jedynie powierzchnię życia, nie sięgnął do jego głębi, do samych jakby wnętrzności ziemi, skąd wróżyć można było o nadchodzącym, największym w dziejach świata przełomie. Język Grubińskiego czysty i wolny od obcych naleciałości, zjawisko wprost wyjątkowe w dobie dzisiejszej.

St. J.

NOWE KSIĄŻKI

B e r n a d z i k i e w i c z Tadeusz dr. Koncern państwowy w Palsce. Warsz. 1938. Tow. Wyd. Młodych Prawników. Str. 112.

S a i n t - H e l i e r Monika. Zamarły las. Powieść. Poznań. Dippel.

T h i e s s Frank. Droga do Izabeli. Powieść. Poznań. Księg. Dippla.

K a w c z y ń s k i Antoni. Dziewczyna z Bilbao. Sześć opowiadań. Poznań. Księg. Dippla.

O r z e s z k o w a Eliza. Dziurdziowie. Pisma t. XIII. Gebethner i Wolff.

T o m a s z e w s k i Edward. Widmo niedźwiedzia. Opowiadania histor. z XIV w. Warsz. 1938. Książnica Atlas.

P o l i t y k a N a r o d o w a. Miesięcznik. Warsz. Kwiecień. Nr. 2.

D o l e ż y k Karol. Etap czy meta? Rozważania polityczne. Cz. II. Chorzów 1938. Nakładem autora. Str. 294. (Dom Ks. Polskiej w Warszawie, albo u autora. Cena zł. 10).

S z c z e r b o w s k i Adam. Bolesław Leśmian. Zamość 1938. Koło Miłośników Książki. Str. 67.

D o b r z y ń s k i Konstanty. Żagwie na wichrach. (Poezje). Poznań 1938.

W r o c k i Edward. Z doli i niedoli moich zbiorów muzycznych. Warsz. 1937. Str. 32.

Ż y c z y ń s k i Henryk. Poezja w Lubelszczyźnie (1918-1937). Lublin 1938. Skład główny w księg. św. Wojciecha.

Z a h o r s k a Anna. Bratnie dusze. Powieść. Toruń. „Słowo Pomorskie".

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWA RZEŹBY NIEMIECKIEJ

JAKO odwzajemnienie za reprezentacyjną wystawę sztuki polskiej, urządzonej w Berlinie, w roku 1935-tym, zorganizowali teraz Niemcy, w naszym Instytucie Propagandy Sztuki, pokaz dzieł współczesnych rzeźbiarzy niemieckich. Wystawy sztuki obcej budzą zawsze zaciekawienie, gdyż, poza wyjątkami, dla ogółu są nowością i dają mu mniej, lub więcej zadawalającą odpo-

[1]) M i e c z y s ł a w R u d n i c k i: Żydzi. Powieść współczesna. Księgarnia św. Wojciecha. Nakładem i czcionkami Druk. i Księg. św. Wojciecha w Poznaniu Knlb. 2 + str. 392.

wiedź na pytanie: co się w zakresie plastyki dzieje u innych? Wiele osób zastanawia się nad tem, czy rzeźba niemiecka nam pokazana jest zła, czy dobra, lepsza, czy gorsza od innych już znanych; inni szukają wpływów antycznych, lub francuskich.

Zainteresowania tego rodzaju uważam za najmniej istotne, bo przecież rzeźba europejska to nie jeden jakiś rodzaj o różnych tylko poziomach, lecz przy właściwych ambicjach narodów — rozmaite ujęcia tej samej widzialnej rzeczywistości, Jacy oni są, ci niemieccy rzeźbiarze co mówią swemi dziełami o swoim narodzie, to przedewszystkiem badajmy, gdyż nie chodzi tutaj wyłącznie o samą doskonałość wypowiedzi, ale także o jej treść.

Zanim opowiem o moich, skrystalizowanych już, wrażeniach, przytoczę słowa autora przedmowy do katalogu, dr. Wernera Rittcha: „W życiu artystycznym (Niemiec, przyp. mój) również zachodziła konieczność usuwania pewnych wpływów obcych narodowi i jego duszy, które otwarcie lub skrycie uprawiały lub popierały anarchię polityczną... Pod względem stylu wykazywała ona (sztuka niemiecka, przyp. mój) upadek, którego przyczyną było poszukiwanie sensacji i dążenia za każdą cenę do czegoś nowego... Musiało to doprowadzić do tego, że w dziedzinie plastyki widziano jedynie problematyczność form, która pozwalała na zniekształcenie naturalnego obrazu... Przez usunięcie wpływów obcych narodowi i charakterowi niemieckiemu zostało osiągnięte wiele, gdyż w ten sposób oczyszczono pole pracy dla istotnie twórczych sił... Należało teraz wskazać cel, do którego artyści mieli dążyć!... Według Hitiera sztuka jest „wzniosłą misją graniczącą z fanatyzmem".

Dalej wspomina dr. Rittich o związku rzeźby z architekturą i mówi, że wobec olbrzymiego rozwoju budownictwa w Niemczech czeka rzeźbiarzy niemieckich nowe zadanie. „Dzisiaj po krótkim pięcioletnim okresie możemy jedynie zastanawiać się nad tym, czy posiadamy dostateczną ilość rzeźbiarzy, których siły twórcze i talent wystarczą, aby zadania tego ważnego okresu rozwiązać w godny sposób".

Taką jest niarodajna opinia przedstawiciela współczesnych Niemiec. Wskazuje nam ona drogi, jakiemi pragnie podążać sztuka niemiecka. A także granice, poza które nie chce się wychylać. Świadomość tych zamierzeń bezwątpienia będzie nam pomocna przy oglądaniu dzieł rzeźbiarzy niemieckich. Muszę się przyznać, iż pierwsze wrażenia, jakich doznałem były raczej natury ujemnej. Przyczynili się do tego poniekąd sami organizatorzy pokazu, włączeniem do wystawy sporej porcji prac słabych, które raczej powinny być usunięte. Rzucają one cień na dzieła rzetelne i poważne i psują poziom całości.

Zajmiemy się jednak rzeźbami godnemi uwagi i omówienia. Można je podzielić, jeśli chodzi o temat, na trzy grupy. W pierwszej znajdą się całe postacie, akty kobiece i męskie, do drugiej zaliczymy portrety i studja głów, trzecia wreszcie — to wyobrażenia zwierząt i ptaków. Najwięcej materiału do stwierdzenia odrębności rzeźby niemieckiej dostarczą nam chyba akty. Widzieliśmy uprzednio w Ipsie wystawy rzeźby francuskiej i polskiej. Otóż, mimo olbrzymich i zasadniczych różnic między jedną i drugą, można je mimo wszystko zestawić, gdy chodzi o porównanie z rzeźbą niemiecką. My i Francuzi wyobrażamy postać ludzką, najchętniej w bezruchu, w jakiejś pozie najprostszej i nieskomplikowanej, ciężar zagadnienia rzeźbiarskiego opierając na samej wymowie bryły i wyrazie jej proporcyj. Natomiast rzeźbiarzy niemieckich to nie zadowala. Ich akty, męskie i kobiece, jak zastygłe w jakimś ruchu, zaskoczone przez nagłą skamieniałość żywe postacie. To samo słowo nasuwa się przy oglądaniu tych dzieł: g e s t, nawet, gdy jest on tak dyskretny, jak w niektórych rzeźbach Kolbe'go. Czasem ruch staje się zgoła gwałtowny, człony ciała, rozrzucone daleko od siebie, układają figurę bardzo skomplikowaną; wtenczas sylweta jest wielomówna i różnemi kierunkami znaczy swe istnienie w przestrzeni. W geście widzimy wiele rytmicznej płynności, która czasem przybiera odcień emfazy.

Przy podobnych dążeniach rzeźby niemieckiej samo opracowanie bryły staje się tylko jednem z wielu zagadnień, może dla plastyków niemieckich nie zawsze ważnem. Nasi rzeźbiarze, wielbiciele Egiptu, bardzo się irytują patrząc na brzuch młodzieńca, dzieło Kolbe'go, znanego artysty niemieckiego, który wywarł widoczny wpływ na innych.

Wśród głów i portretów znajdziemy szereg dzieł dobrego realizmu, przeprowadzonych z prawdziwem zrozumieniem rzeźbiarskiem, nieraz bardzo wymownych w wyrazie, choć nie przesadzonych. Wymienimy tu rzeźbiarzy: Bernhard'a, Bleeker'a i Hans'a Wimmer'a, jako charakterystycznych. Sposobem nieco staroświeckim, lecz z wielką rzetelnością i subtelnem wyczuciem, została wykonana głowa „Odlewacza gipsu Tuchs'a", przez Ulferta Janssen'a. Fritz Röll jest artystą bardzo subtelnym; doskonałego odtwórcę zwierząt znajdujemy w Max'ie Esser.ze. Jego rzeźby wykazują doskonałą znajomość kształtów zwierzęcych i ptasich, a także umiejętność syntetycznego ich rozwiązania w zwartej bryle rzeźbiarskiej.

Jeśli chodzi o techniki, rzeźbiarze niemieccy najchętniej uprawiają lepionkę gliny, a co zatem idzie i bronz. Marmury, kamień są na wystawie rzadkością. Drzewa Niemcy nie czują.

WIKTOR PODOSKI

Z TEATRU

SZÓSTE PIĘTRO

W ATENEUM

W ZASADNICZYM pomyśle komedii niema nic nadzwyczajnego, a niewiele — z osławionych „nowoczesnych przekrojów". Zwykła sztuka z jednością miejsca i akcji. Stosunki między ludźmi, sojusze i konflikty mogą zawiązywać się na statkach, dworcach kolejowych, w pociągach, w szpitalach, w nocnych spelunkach, na plażach, w poczekalniach biur, w parkach miejskich i lasach państwowych — słowem nieomal wszędzie, gdzie ludzie się spotykają. Cóż w tym dziwnego, że na szóstym piętrze kamienicy czynszowej młodzieniec uwiódł dziewczynę, a drugi się z nią ożenił? Że w tej akcji wzięli udział inni lokatorowie? Co najwyżej „szara dama" przychodząca w miejsce, gdzie straciła kiedyś kochanka, jest życiowo mało prawdopodobna, psychologicznie trochę pokręcona, a komediowo — naiwna. Reszta postaci i całość wydarzeń tkwi równie daleko od cudownych nieprawdopodobieństw baśni lub wspaniałej farsy, jak i od grozy tragicznego realizmu. Krótko mówiąc — komedia, w środku melodramatyczna, na początku

i na końcu krotochwilna, w pomysłach przeważnie dosyć staroświecka.

Widowisko opiera się na dobrej reżyserii (St. Perzanowskiej) oraz na dobranym, sharmonizowanym i solidnie grającym zespole, na czele ze Stefanem Jaraczem.

Melodramat, przeplatany farsą — to wdzięczny gatunek, ale tylko w niezawodnych rękach reżyserskich. Bo rzecz taka nie gra się „sama”. Większość publiczności nie zastanawia się nad tymi sprawami; dosyć, że widowisko jest składne, że silnie działa, wzruszając, lub rozśmieszając, zawsze jednak poruszając coś we wnętrzu widza. Niewidoczny jest cień reżysera, który dzierży wszystkie sznurki. Wystarczyłoby w jednym miejscu zwolnić tempo, a w drugim przyspieszyć, jedną scenę zagrać weselej, a inną poważniej, a zaraz w „Szóstym piętrze” mielibyśmy nużące dłużyzny i niesmaczne kontrasty. Tymczasem reżyser, dysponujący coprawda dobrymi aktorami, z nieświetnego „libretta” zrobił sztukę przyjemną i atrakcyjną.

Główną atrakcję sztuki stanowi Jaracz. Skala ocen, z jakimi spotykają się jego kreacje, ma niewielką rozpiętość, ale — górne położenie: Jaracz może grać tylko wspaniale, świetnie albo znakomicie. Każcie innemu aktorowi dyktować powieść na maszynę, a zobaczycie jak szybko nastąpi niebezpieczny spadek zainteresowania widowni, jak poczną trzeszczeć krzesła. W interpretacji Jaracza są to najlepsze momenty sztuki, budzące żywiołową wesołość.

Maria Nobisówna w roli Jadzi jest nadobna, subtelna, wzruszająca. Tylko wtedy, kiedy woła, w głosie jej panuje jakiś dziwny, mosiężny dźwięk. Stanisław Daniłowicz dowiódł, że nie trzeba być koniecznie dyplomowanym barytonem, aby występować w teatrze. Głos ma jak gdyby, *sit venia verbo*, przepity, ale to nie szkodzi. W chórze zespołu taki jeden głos tworzy tylko dysonanse harmoniczne, ponadto nadaje się szczególnie do sztuk realistycznych, bo wnosi element prawdopodobieństwa, życiowości. Gra nieźle. Więcej niż nieźle i lepiej, niż zwykle gra Anna Jaraczówna. Należy wyróżnić zwłaszcza jej mimikę i gestykulację. Leszek Pośpiełowski to dobry amant, tylko za bardzo wykrzywia twarz do swoich ofiar. Ale widocznie taką już mu Pan Bóg stworzył... mimikę. M. Kalinowicz stworzył b. przekonywujący typ robotnika o aspiracjach miłosnych do panny z „wyższej sfery”. Reszta zespołu jest godna przynajmniej ogólnego uznania.

Autorem komedii jest Alfred Gehri; przekładu dokonali Józef Brodzki i Jerzy Walden.

Dekoracje Wł. Daszewskiego.

T. D.

ZE ŚWIATA MUZYKI

MŁODZI I NAJMŁODSI

TAK się złożyło, że zapowiedziany w poprzednim felietonie przegląd sceny i estrady uwagę poświęcił z żywą radością młodym. Im bowiem należy się od społeczeństwa najwięcej zainteresowania i opieki moralnej. Młode talenty marnują się bardzo często w atmosferze obojętności starczej, zazwyczaj nie rozumiejącej ich generacji. Idzie tylko o to, aby poczynania młodych, tak twórcze, jak odtwórcze należały do kategorii rzeczy dojrzałych, a zatem stojących na należytym poziomie artystycznym. Krytyka powinna im w tej pracy dodawać bodźca i życzliwej zachęty, nigdy jednak nie tolerować dylentantyzmu, pokrytego warstwą czczych frazesów. Jak to już zaznaczyłem, przypadek zdarzył, że w bieżącym okresie sprawozdawczym młodzi artyści nasi i zagraniczni zajęli miejsce bardzo poczesne. Po paru latach niebytności zawitała więc do nas wiolinistka francuska, Ginette N e v e u x, którą pamiętamy jakże dobrze z konkursu im. Wieniawskiego. Przez ten czas Neveux rozwinęła się, nabrała pewności siebie i walorów technicznych. Jej występ na piątkowym koncercie symfonicznym z koncertem Lalo i utworem Chansson'a na czele był prawdziwą rewelacją. Po tej uroczej „jedynaczce” w dziedzinie gry skrzypcowej przesunął się przed nami długi szereg młodych pianistów. Rzadko ukazujący się na estradzie, Ryszard W e r n e r dał w sali konserwatorium bardzo udany recital chopinowski, zyskując sobie wyrazy uznania nie tylko za piękny ton i frazę ale i za prostotę, godną wykonywanych utworów. Również i Maria O g i l b i a n k a po odbyciu rocznych studiów w Paryżu u mistrzów tej klasy co Cortot i Lévy powróciła do kraju nie tylko z zasobem środków technicznych ale i z wielkim dla swej pracy entuzjazmem. Życzmy jej, aby ten „święty ogień” doprowadził młodą, wybitną już pianistkę do perfekcji. Radzibyśmy usłyszeć p. Ogilbiankę na recitalu własnym. Wandę P i a s e c k ą znamy od kilku lat, jeszcze ze studiów, wspólnie odbytych u Józefa Śliwińskiego. Przyznaję, że nigdy nie słyszałem jej wykonania klasyków. Dlatego też wybrałem się umyślnie na ostatnią (XIII-ą) audycję Towarzystwa Dawnej Muzyki, aby przysłuchać się koncertowi włoskiemu J. S. Bacha oraz utworom Mozarta i Scarlattiego. Piasecka zagrała je bardzo stylowo. Czuje się jednak, że romantyzm, a zwłaszcza Chopin, to jej ulubiony i zapewne najlepiej grany repertuar.

B e n d e r a wolno nam również zaliczyć do grona młodych. Pięknym swoim basem wykonał on długi szereg pieśni z epoki klasycznej. Może najpiękniej brzmiały arie Mozarta i dodani nad program „Dwaj grenadierzy” Schumanna. Jaka szkoda, że takich głosów, jak Bender, Czaplicki, nie mówiąc już o Kiepurze, nie możemy posiadać w stałym zespole naszej opery stołecznej. Byłby to, śmiem sądzić, niezawodny sposób na wzmożenie frekwencji w Teatrze Wielkim.

Skoro mowa o operze, muszę zaznaczyć, że wystąpiła ona z nową premierą, niestety — znowu operetkową. „Manewry jesienne” Kalmana wabią nas, jak przed wojną, pięknem swoich melodii i żywością akcji. I tu znowu wyróżnię „najmłodszą” gwiazdeczkę operową, p. Barbarę K o s t r z e w s k ą w roli młodego podporucznika. Kostrzewską pamiętamy z poprzedniego repertuaru, jako doskonałą Juanitę. Głos bardzo piękny, duży temperament sceniczny no i — młodość połączona z dobrymi warunkami zewnętrznemi. Tak jak Ogilbiankę chciałbym sprowokować do własnego recitalu, tak Kostrzewską radbym usłyszeć w drobnej bodaj roli, o p e r o w e j.

Do grona młodych śpiewaków zaliczyłbym również Helenę Z u b o w i c z ó w n ę, która dała się niedawno słyszeć wespół z basem-barytonem, p. N a r u s z e w i c z e m w Filharmonii. Zubowiczowa posiada rzadki u nas sopran koloraturowy, wyraźną dykcję i umiejętność zdobywania sobie sympatii publiczności. Akompaniował prof. L e f e l d.

Szereg wieczorów w Konserwatorium poświęca się w pierwszą rocznicę śmierci Karolowi S z y m a n o w s k i e m u. Koncerty te mają na celu danie przeglądu jego różnorodnej twórczości i cieszą się naogół powodzeniem, byle siły wykonawcze stały bez wyjątku na odpowiednim poziomie. Mamy przecież wielu utalentowanych młodych wykonawców, chociażby z grona wyżej wymienionych, ktorzy z entuzjazmem podjęliby się zaszczytnej roli odtwórców utworów naszego największego z kompozytorów współczesnych. P o l s k i e R a d i o, jak słychać, redukuje ostatnio do minimum występy artystów żydowskich, (czyżby na skutek artykułów, które na tych łamach i gdzieindziej drukowaliśmy?). Lepiej jest późno zmienić kierunek, niż wcale. Życzyćby tylko należało, aby wolne „wakansy” w Radio przypadły w udziale nie tyle protegowanym (nieraz miernym) artystom, ile najwybitniejszym i najbardziej dla muzyki polskiej zasłużonym.

ASPER

ZABORCZOŚĆ NIEMIECKA

ZABÓR Austrii dokonał jednej zbawiennej przemiany. Oto nagle ujrzano i uświadomiono sobie grozę imperializmu niemieckiego, nie przebierającego w środkach a zmierzającego z żelazną konsekwencją do podbojów.

Przecież naczelną ideą *Mein Kampf*, tej biblii hitlerowskiej, są właśnie podboje, zabory nowych ziem. Na wielu stronach tej książki, której rozpowszechnienie w tłumaczeniu polskiem jest zabronione, Hitler wyraźnie i brutalnie pisze o podbojach, wskazując na Wschód, na ziemie polskie i ruskie, aż po Ural, jako na tereny, nadające się właśnie do kolonizowania przez „Kulturtraegerów" niemieckich. Że to nie jest potrzeba ziemi jedynie dla uprawy przez włościan lecz żądza podbojów, wystarczy wskazać na to, że Trzecia Rzesza ma przecie nadmiar latyfundiów, jakie należałoby skolonizować.

Obserwacja polityki, prowadzonej w Europie po zakończeniu wojny światowej, nasuwa wniosek, że tzw. Alianci, podpisawszy pokój w Wersalu, przeszli do organizowania, zresztą nieudolnie, nowego życia, opartego na zasadzie, że wojen już więcej być nie powinno i nie będzie. Panaceum na klęskę wojny miała być Liga Narodów. Otóż Niemcy podpisali traktat pokojowy, bo nie mieli innego wyjście na razie, ale nie żywili najmniejszego zamiaru dotrzymania przyjętych zobowiązań. Zasadą Niemców jest, że wojna trwa zawsze, a zaś *à la guerre, comme à la guerre*. Dlatego też dla Bismarcka traktat był to świstek papieru, Hitler zaś, skoro tylko może, zrywa zobowiązania pokojowego traktatu wersalskiego. Według zasady niemieckiej walka trwa nadal, tylko za pomocą innych środków odpowiednio dostosowanych do warunków.

Zakończył się okres walki defensywnej, t. j. wygrywanie Ligi Narodów, socjalistów itp., co odpowiadało atmosferze powojennej. Hitleryzm oznacza przejście Niemców do ofensywy. Atakują oni na wszystkich polach. Motorem tych wszystkich poczynań jest hitleryzm, mistyczno-religijna idea, wprzęgnięta w rydwan imperialistycznej polityki niemieckiej. Co więcej, jest to idea, za pomocą której zorganizowano Niemców w innych państwach, przedewszystkiem sąsiednich.

Łużyczanie czyli Słowianie połabscy, żyjący zwartą masą na ziemi rodzimej i dający świadectwo temu, że to były ongi ziemie słowiańskie, są od tysiąca lat tępieni przez Niemców, tępieni wprost bezlitośnie. Pozostało ich jeszcze jakie 150.000. Posiadają od stu lat własną prasę, stworzyli bardzo ciekawą literaturę (zajrzyjcie, proszę, do książki J. Gołąbka, Literatura serbsko-łużycka, Katowice, 1938), posiadają wybitne nazwiska w nauce, w sztuce. Stoją wysoko nietylko na polu kultury, zorganizowali się gospodarczo. Ale pracownicy narodowi przesiadują w więzieniach niemieckich; aresztuje się redaktorów, zamyka się pisma łużyckie i stowarzyszenia kulturalne, a nawet gimnastyczne i sportowe. Łużyczan nazywa się urzędowo „Niemcami, mówiącymi po serbsku". Wogóle sroży się akcja germanizacyjna i eksterminacyjna w stosunku do garstki Słowian, która ma poczucie swej narodowości i nie chce się dać zniemczyć.

A teraz zobaczmy, co się dzieje w Czechosłowacji, w Sudetach. Jakie są tam żądania Niemców, obywateli czechosłowackiego państwa, przedstawione rządowi w Pradze. Żądania, redagowane zresztą w Berlinie. Uwzględnienie tych żądań oznaczałoby całkowitą utratę niepodległości państwa czechosłowackiego i oddanie go pod komendę Berlina.

Niemcy, budując na razie „Mittel - Europę", czynią to umiejętnie i konsekwentnie. Najprzód zabór Austrii, teraz umocnienie w basenie naddunajskim. A więc idzie pod obstrzał Czechosłowacja. Maluczko a wyniknie sprawa węgierska. Mniejszość niemiecka na Węgrzech liczy około pół miliona i jest niezwykle rozwinięta pod względem politycznym, kulturalnym i gospodarczym. Ponieważ ta mniejszość jest warstwą kulturalnie i gospodarczo bardzo rozwiniętą, posiada duże wpływy polityczne. Obecny rząd w Budapeszcie ma w swem gronie tylko jednego członka węgierskiego pochodzenia, reszta pochodzi z Niemców. Hitleryzm, organizując Niemców poza granicami Rzeszy, czyni z nich „faktorie" imperializmu pangermańskiego, rozsadzające Węgry od środka. Instruktorzy hitlerowscy z Berlina przeprowadzają inspekcje ośrodków niemieckich na Węgrzech, zapewniając zbyt głośno, że partia hitlerowska nie miesza się w sprawy wewnętrzne obcych państw. Ale któż wykryje różnicę między partią a rządem w Berlinie? Ale na Węgrzech doszło do tego, iż nawet germanofil hr. Bethlen powiedział w parlamencie, że w miarę dalszego rozwoju hitleryzmu Węgry staną się nie przyjaciółmi, ale sługami Niemiec, co będzie końcem niezależnej polityki węgierskiej.

Występy demonstracyjne hitlerowców w Poznaniu podczas otwarcia Targów Poznańskich, występy skierowane przeciw Polsce, powinny wreszcie zwrócić naszą uwagę (tj. społeczeństwa i rządu) na płonące zarzewie niebezpieczeństwa.

Tolerowanie akcji hitlerowskiej w Polsce doprowadzi nas do bardzo niebezpiecznych komplikacji. Lepiej temu zapobiec, póki jeszcze czas.

QUIS

NA MARGINESIE

Kilka złotych myśli Jędrzeja Śniadeckiego:

Daleko pożyteczniej umieć jedną rzecz dobrze, aniżeli wiele się ucząc, niczego dobrze nie umieć.

Niemasz takiego niedołęgi, któregoby na coś ukształcić, ukształconego do czegoś użyć niepodobna.

Jeden zły nauczyciel więcej uczniom szkodzi, niżeli dwu najlepszych naprawić potrafi.

Byli w teraźniejszych wiekach uczeni tak lekkomyślni i nierozsądni, iż starali się osłabić wiarę ludu, nie uważając, iż to jedyne jego szczęście.

Prawa natury są nieodzowne, żadnego nie cierpiące wyjątku.

Ci tylko są rodzaju ludzkiego przyjaciółmi, którzy starają się o jego oświecenie.

Moim zdaniem nigdy ten nic nie nauczy nikogo, kto swojej nauki nie umie zrobić przyjemną.

Choć nam się zdaje, że nauki są jedne na całej ziemi, utrzymywałem zawsze i wołałem w głos o to: że każdy naród powinien mieć swoje własne.

Najlepsze wychowanie zawarte w przestrogach i przepisach na nic się nie zda, jeżeli dzieci widzą co innego w przykładzie.

Żyd.. nie orze, nie sieje, nie zbiera, nie młóci, a ma chleba poddostatkiem, obfituje we wszystko i wszystko, co się w kraju urodzi do niego należy... Szanuj kochany czytelniku potomków Izraela, bo to są prawdziwie wielcy ludzie.

Gdyby mi przyszło wybierać, czy sobie dać odciąć nogi, czy głowę, wolałbym raczej poświęcić tę ostatnią. Na co ona potrzebna? Czyż nie widzimy, jak się ludziom bez głowy dobrze powodzi? a jak ci, co ją mają, źle na tym wychodzą?

Dobre nogi i dobry apetyt, to grunt, to prawdziwe szczęście! A grzbiet giętki i czoło wytarte, to talenta! to przywileje na wszystko!

Nie żałuj pieniędzy na prasę narodową!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.